NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal. Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)

Telefon Nr. 475.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XV. Kraków, 5 stycznia 1918 Nr. 1.

Rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim.

(Treść na str. 7).



Powitanie delegatów rosyjskich na dworcu w Brześciu Litewskim. Stoją od lewej ku prawej (w cywilnych ubraniach): przewodniczący delegacyi rosyjskiej Abraham Joffe, Kamieniew, delegatka Biczenko i Karachan. (Fot. Bufa.)

Bolesna strata.

Jeden z najznakomitszych i najlepszych synów Polski — Stanisław Tarnowski — przeniósł się do wieczności. Żałobna ta wieść lotem błyskawicy rozeszła się po mieście, wzbudzając serdeczny żal w najszerszych kołach społeczeństwa, którego był chlubą.

S. p. Stanisław hr. Tarnowski urodził się 7. listopada 1837 w Dzikowie w Galicyi jako syn Jana i Gabryeli Małachowskiej ze znakomitego rodu, od dawna i dobrze zasłużonego Ojczyźnie. W najlepszych tradycyach rodzinnych wychowany już od najpierwszej młodości odznaczył się Zmarły najczystszym, szeroko pojętym patryotyzmem i katolicką żarliwością, z której słynął. Studya odbył w gimnazyum św. Anny w Krakowie, które ukończył chlubnie w r. 1854 oraz na Uniwersytecie krakowskim i wiedeńskim. Po wypadkach roku 1863 znalazł się w więzieniu austryackiem, skąd po dwuletniej pokucie za patryotyzm polski, w r. 1865, wypuszczony na wolność, zaraz następnego roku założył miesięcznik naukowo-literacki „Przegląd polski", jako organ partyi konserwatywnej, w którym niebawem ukazała się sławna potem „Teka Stańczyka". W r. 1867 został St. Tarnowski posłem z okręgu Rzeszowskiego, a następnie wszedł do Rady państwa w Wiedniu. Wkrótce jednak działalność jego wzięła kierunek przeważnie naukowy.

W roku 1869 doktoryzował się na wydziale filozoficznym Uniw. Jagiellońskiego i równocześnie został docentem historyi i literatury polskiej, a we dwa lata później (1871) profesorem tego samego przedmiotu, wreszcie w r. 1873 zwyczajnym członkiem Akademii Umiejętności, której ostatnio, po śmierci ś. p. Józefa Majera, był prezesem jako drugi z rzędu. W r. 1908 opuścił katedrę uniwersytecką, uczczony z tej okazyi tak uroczyście i serdecznie przez naród, jak mało kto z Polaków kiedykolwiek. Wtedy to zaszczycił go swem pismem Ojciec św. Pius X. i Franciszek Józef I. Wogóle zmarłego otaczała serdeczność tak wielka, jaką mało kto cieszył się w Polsce. Z nim schodzi do grobu pierwszorzędny pisarz, krytyk i mowca, jakich nie wielu mamy. Polak, co znał Polskę całą od morza do morza i całą uczył kochać młode pokolenie. Opiekun tych ubogich i nędzarzy, co tysiące nędzy łagodził za życia. Człowiek niezmordowany w pracy, co pióra z rąk nie wypuszczał nimal do samej śmierci.



Bolesna strata: S. p. Stanisław hr Tarnowski.

Ojczyzna, którą tak ukochał, przywdziewa żałobę przy trumnie jednego z największych synów swoich, który, dziedzicząc tradycye pełnego zasług w historyi rodu, kontynuował je przez długi, pracowity i pełen zasług żywot.

Cześć Jego pamięci!

Pierwszy gabinet polskich ministrów.

Budowa państwa polskiego postępuje powoli i z wielkimi trudnościami, które doprowadziły do rozbicia Legionów i ustąpienia Rady Stanu. Nowym okresem w tej państwowo twórczej pracy, natrafiającej wciąż na rafy zatargów z rządami okupacyjnemi w Królestwie Polskiem, jest intronizacya Rady regencyjnej i powołanie przez nią pierwszego gabinetu polskich ministrów. Stanowi on zaczątek pierwszego polskiego rządu, choć nie posiada jeszcze głównej jego atrybucyi, to jest... możności rządzenia we własnym kraju. Nie jest to jednak winą ani jego, ani wogóle Polaków, którzy teraz zwłaszcza, gdy w Brześciu Litewskim rozpoczęła się likwidacya obecnej wojny, powinni pierwszemu swemu rządowi udzielić najdalej idącego poparcia, aby zdołał on przezwyciężyć piętrzące się wciąż z zewnątrz trudności i stał się wreszcie tem, czem być powinien — faktycznym i jedynym gospodarzem wolnej, niepodległej Polski.

* * *

O członkach pierwszego gabinetu polskiego przynoszą dzienniki warszawskie następujące daty biograficzne:

Jan Stecki, minister spraw wewnętrznych, urodził się w Lubelskiem w roku 1871, liczy więc lat 46. Po ukończeniu gimnazyum w Warszawie, wstąpił na wydział lekarski w uniwersytecie warszawskim. W połowie studyów zmuszony był opuścić uniwersytet i poświęcić się publicystyce. Był współpracownikiem „Głosu" za redakcyi J. K. Potockiego, a potem członkiem redakcyi za Z. Wasilewskiego. Przez czas pewien studyował nauki polityczne i ekonomiczne na uniwersytecie w Bonn. W roku 1898 wydał „Zasady ogólne ekonomii społecznej". W „Ateneum" wydrukował rozprawę p. t. „Socyologia uduchowiona", pisywał też do „Ekonomisty" i do „Tygodnika illustrowanego". Przetłumaczył dwa tomy „Socyologii" Spencera i „Humaniści nowożytni" Robertsona. W roku 1900 osiadł w majątku własnym w Łańcuchowie w pow. chełmskim. W r. 1906 wybrano go na posła do I. Dumy, w której wygłosił wielką mowę w sprawie agrarnej. Wybrany w r. 1907 do II. Dumy uzasadniał w niej projekt autonomii Królestwa Polskiego, wniesiony przez



Rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim: Delegaci przy podpisywaniu układu o zawieszenie broni 1. Kamieniew 2 Joffe, przewodniczący rosyjskiej delegacyi 3 Pani A Bicenko 4 Kontradmirał Altvater 5 Kapitan Lipski 6 Karachan, sekretarz delegacyi rosyjskiej 7 Podpułkownik Fokke 8 Zeki basza pełnomocnik turecki. 9. Poseł Merey. 10. Marszałek polny, ks Leopold bawarski (podpisuje układ o zawieszenie broni). 11. Jenerał-major Hoffmann. 12 Pułkownik Ganczew, pełnomocnik bułgarski. 13. Kapitan marynarki Horn. 14. Kapitan Rey. 15. Major Brinkmann. 16. Major Kameke. 17. Rotmistrz Rosenberg. 18. Major Mirbach. 19. Doliwa Dobrowolski. (Fot. Bula)



Pierwszy gabinet polskich ministrów: Jan Stecki, minister spraw wewnętrznych.

Koło polskie. Do III. i IV. Dumy kandydatury nie przyjął. W tych czasach napisał krótką broszurę „O kwestyi rolnej“, a potem zwięzłą pracę „O autonomii Królestwa Polskiego“, która wywołała w swoim czasie żywe komentarze polityczne. Podczas wojny



Pierwszy gabinet polskich ministrów: Stanisław Bukowiecki, minister sprawiedliwości

poświęcał się pracy polityczno społecznej, należąc do narodowej demokracyi. Klub polski w Lublinie powołał p. Steckiego na swego prezesa. W ostatnich dniach wystąpił ze stronnictwa demokratyczno-narodowego.

Stanisław Bukowiecki, minister sprawiedliwości,

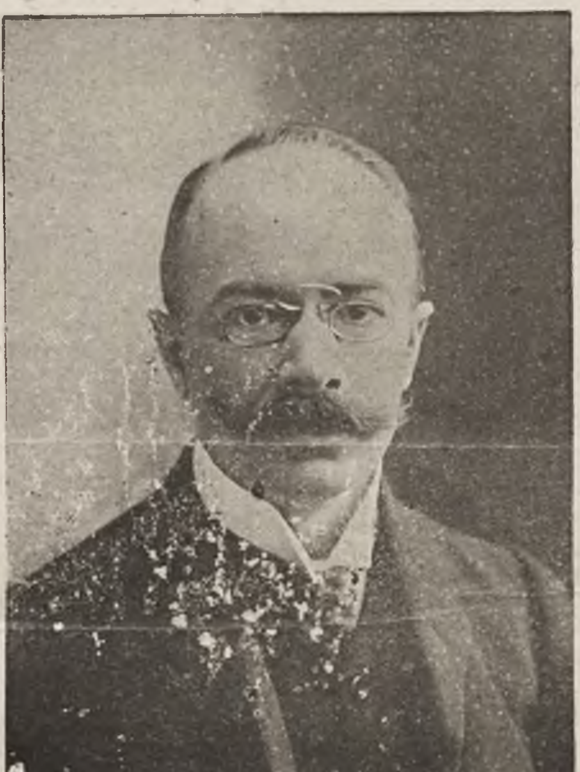


Pierwszy gabinet polskich ministrów: Antoni Ponikowski, min. wyznań i oświecenia publicznego.



Pierwszy gabinet polskich ministrów: Jan Kucharzewski, prezes ministrów.

urodził się w Opatowie w roku 1867. Gimnazyum ukończył w Radomiu, studya prawnicze w uniwersytecie warszawskim, otrzymując stopień kandydata praw za pracę „O urządzeniach administracyjnych



Pierwszy gabinet polskich ministrów: Jan Kanty Steczkowski, minister skarbu.



Pierwszy gabinet polskich ministrów: Józef Mikułowski-Pomorski, minister rolnictwa i dóbr koronnych.



Pierwszy gabinet polskich ministrów: Jan Zagleniczny, minister przemysłu i handlu

za panowania Stanisława Augusta“. Wyjechał następnie do Heidelberga, gdzie doktoryzował się po złożeniu rozprawy „O prawie do pracy“. Po powrocie do kraju pracuje w Dąbrowie jako adwokat. Przybywszy do Warszawy, zbliżył się do młodzieży,



Pierwszy gabinet polskich ministrów: Stanisław Staniszewski, min. opieki społecznej i ochrony pracy.

wykładając w szkołach ekonomię polityczną, historyę doktryn ekonomicznych i encyklopedyę prawa. Zajmował się również działalnością publicystyczną pisząc dłuższe artykuły, z których na uwagę zasługują: „Rys porównawczy prawa cywilnego górniczego na ziemiach polskich“ i „Naród, jako podmiot



Pierwszy gabinet polskich ministrów: Stefan Przanowski, minister aprowizacyi.

gospodarstwa społecznego". W roku 1914 wydał pracę p. t. „Szkoła wobec prawa publicznego". Napisał również w lwowskiej Rzeczypospolitej" szereg artykułów, które się złożyły na broszurę p. t. „Rosya wobec Polski". Mianowany członkiem Tymczasowej Rady Stanu staje na czele departamentu sprawiedliwości. Zorganizowanie sądownictwa w Królestwie Polskiem zawdzięczać należy głównie jego energii. W życiu politycznem brał żywy udział w okresie r. 1905 i następnych, najpierw jako członek stronnictwa demokratyczno-narodowego, a potem jako członek tak zwanej secesyi. Obecnie nie należy do żadnej partyi politycznej, uchodząc jednak za zbliżonego do Ligi państwowości polskiej.

Jan Kanty Steczkowski, minister skarbu, urodził się w powiecie strzyżowskim w Galicyi. Po ukończeniu studyów prawniczych zajmował się przez szereg lat praktyką adwokacką we Lwowie. Powołany przez Wydział Krajowy do dyrekcyi Galicyjskiej Kasy oszczędności, dokonał gruntownej sanacyi tej instytucyi. Następnie objął kierownictwo filii lwowskiej austryackiego zakładu kredytowego, poczem został dyrektorem galicyjskiego Banku krajowego.

Podczas wojny przeprowadził dla Galicyi różne ulgi gospodarcze i finansowe, przyczyniał się skutecznie do udzielenia pomocy finansowej osobom poszkodowanym wskutek działań wojennych, został prezesem galicyjskiego wojennego zakładu kredytowego. Z inicyatywy i czynnego poparcia dra Steczkowskiego powstały w Galicyi dwie fabryki: azotu z powietrza i przetworów kartoflanych. Zorganizował wszystkich właścicieli gorzelni rolnych w Związek, dzięki czemu ta gałąź przemysłu znacznie się rozwinęła. Jedna z największych zasług dra Steczkowskiego jest umożliwienie wykupu przez Wydział krajowy bogatych terenów węglowych w Zagłębiu krakowskiem.

W życiu politycznem udziału nie bierze i nie należy do żadnego stronnictwa. Niedawno był powołany na członka wiedeńskiej Izby panów.

Antoni Ponikowski, minister wyznań i oświaty, urodził się w roku 1878. Gimnazyum ukończył w Siedlcach. Studya odbywał w uniwersytecie warszawskim, a następnie po otwarciu politechniki wstąpił do niej i w roku 1903 ukończył wydział inżynieryi, specyalizując się w hydrotechnice. W roku 1905 wyjechał na lat pięć za granicę w celu pogłębienia swej wiedzy w dziale melioracyi rolnej. Po powrocie w r. 1908 zorganizował spółkę do prowadzenia robót melioracyjnych w Królestwie i na Litwie, stając na jej czele. Od szeregu lat poświęca się pracy pedagogicznej i oświatowej, a już w latach 1903 i 1904 był członkiem zarządu głównego tajnego Towarzystwa oświaty narodowej. Wykłada w wyższej szkole rolniczej, w Tow. kursów naukowych i na politechnice. W styczniu r. z. został wybrany dziekanem wydziału inżynieryi rolnej. Z chwilą utworzenia wydziału oświecenia komitetu obywatelskiego wziął w jego działalności udział, jako sekretarz zarządu wydziału i naczelnik biura. Wybrany do Rady miejskiej z kuryi techników stale referował część budżetu szkolnego. Należy do Ligi państwowości polskiej, do jej skrzydła umiarkowanego.

Józef Mikułowski Pomorski, minister rolnictwa, urodził się w r. 1868 w Mulicach w Sandomierskiem. Studya wyższe odbywał w Rydze i Lipsku. Od roku 1894 do 1911 był adjunktem, następnie profesorem i dyrektorem akademii rolniczej w Dublanach, a od r. 1895 kierownikiem krajowej galicyjskiej stacyi doświadczalnej również w Dublanach, która pod jego kierownictwem stała się jedną z najpoważniejszych instytucyi doświadczalnych polskich. Jako wiceprezes Tow. Kółek rolniczych we Lwowie, prof. Pomorski przeprowadził organizację tej instytucyi w kierunku rolniczym. Był wiceprezesem Towarzystwa popierania polskiej nauki rolnictwa w Krakowie. W r. 1911 powołano go na dyrektora kursów przemysłowo-rolniczych w Warszawie. Po opuszczeniu Warszawy przez Rosyan zaproszony był na stanowisko przewodniczącego wydziału oświecenia. Prace naukowe p. Pomorskiego dotyczą teoretycznych i praktycznych kwestyi nawozowych. W roku szkolnym 1916/17 wybrano go na dziekana wydziału inżynieryi rolnej.



Zgon popularnego artysty: Ś. p. Stanisław Tondos.

Mianowany członkiem Tymczasowej Rady Stanu był następnie wybrany na wicemarszałka i zaproszony na dyrektora departamentu wyznań i oświecenia publicznego, na którem to stanowisku pozostaje do dziś dnia, będąc jednocześnie przewodniczącym komisyi przejściowej Tymczasowej Rady Stanu.

Jan Zgleniczny, minister handlu, z zawodu inżynier-chemik. Gimnazyum ukończył w Gidlach, politechnikę w Zurychu. Zajmuje obecnie stanowisko dyrektora zarządzającego cukrownią „Brześć kujawski". W roku 1906 wybrany był na posła do I Dumy, gdzie brał żywy udział w komisyi do spraw robotniczych. Ogłosił szereg artykułów z zakresu cukrownictwa. Prace swe zamieszczał w „Encyklopedyi rolniczej" i w „Encyklopedyi wielkiej", spółdziałał w wydaniu zbiorowego dzieła p. t. „Cukrownictwo". Zna dokładnie stosunki przemysłowe i handlowe w kraju i za granicą. Należy do Związku niezależności gospodarczej.

Stanisław Staniszewski, minister opieki społecznej i ochrony pracy. Urodzony w roku 1864 w Kalwaryi, kształcił się w gimnazyum suwalskiem, następnie skończył wydział prawny uniwersytetu warszawskiego. W roku 1889 rozpoczął praktykę sądową i po pięcioletniej pracy został adwokatem przysięgłym, dając się równocześnie poznać, jako bardzo czynny pracownik na polu życia politycznego i utalentowany publicysta społeczník. Podczas wojny stanął na czele suwalskiego komitetu obywatelskiego, należąc do centralnego komitetu obywatelskiego. Przybywszy na stałe do Warszawy w początkach r. 1915, objął przewodnictwo wydziału prowincyonalnego Rady Głównej Opiekuńczej. Oprócz tego p. Staniszewski zajmował się losem inwalidów legionistów i ich rodzin, biorąc czynny udział w odpowiednich instytucyach opiekuńczych.

Stefan Przanowski, minister aprowizacyi. Z zawodu inżynier mechanik. Szkołę realną ukończył w Łowiczu. Po powrocie z Niemiec, gdzie w Karlsruhe odbywał studya techniczne, poświęcił się pracy zawodowej. Założył najpierw biuro techniczne w Warszawie, a następnie budował tartaki i młyny po wsiach w Królestwie i Rosyi. Jest dyrektorem zarządu fabryki „Norblin, Buch i Werner". W roku 1915 komitet obywatelski powołał p. Przanowskiego na przewodniczącego sekcyi sklepowej. W roku 1916 Przanowski stanął na czele sekcyi żywnościowej, a następnie wydziału zaopatrywania zarządu stołecznego miasta Warszawy. Był następnie ławnikiem miejskim, a ostatnio został z wyboru dyrektorem wydziału krajowego zbożowego i jest członkiem komisyi statystycznej przy centralnem Towarzystwie rolniczem.

Liczy lat 42. Należy do Polskiej Partyi Postępowej.

Zgon popularnego artysty.

W Krakowie zmarł jeden z najpopularniejszych artystów polskich starszej generacyi, ś. p. Stanisław Tondos. Niepodobna w krótkiej notatce pośmiertnej przedstawić całokształtu jego bogatej, wieloletniej twórczości. Podkreślić tylko należy, że ś. p. Zmarły w swych prześlicznych akwarelach odtwarzał przedewszystkiem Kraków. Z pod jego pędzla ukazywały się raz wraz nieporównanie piękne fragmenty starego Krakowa, przedewszystkiem starodawne, historyczne nasze kościoły. Sukiennice, barbakan, baszty, oraz wiele architektonicznych osobliwości miasta. Złożył tem dowód głębokiego umiłowania Krakowa, w którym długie lata pracował ku chlubie sztuki ojczystej. Talent ś. p. Tondosa uznawano nie tylko w Polsce (na wystawie w Warszawie w r. 1900 odznaczony został dyplomem honorowym i złotym medalem). Nasz artysta zdobył sobie imię także i zagranicą, czego dowodem dyplom honorowy i złoty medal, otrzymane na wystawie paryskiej.

Ś. p. Stanisław Tondos urodził się 10 marca 1854 r. w Krakowie. Do szkoły sztuk pięknych uczęszczał za dyrekcyi Wład. Łuszczkiewicza. Zachęcony przez Juliusza Kossaka, który wysoko cenił jego zdolności, poświęcił się akwareli. Poza Krakowem oddawał się studyom malarskim w Wiedniu, gdzie pracował pod kierunkiem prof. Seitza, oraz w Monachium. Zmarły przez szereg lat był także profesorem rysunków w krakowskich szkołach średnich. Osierocił żonę i syna, obecnie podporucznika 13 p. p.

Jako niezwykle utalentowany miłośnik Krakowa, pozostawia po sobie ś. p. Tondos trwałą pamięć.





Z frontów bojowych: Szczątki trenu i działa, porzucone przez Włochów w ucieczce z nad rzeki Tagliamento. Fot. Bufa)

Adam Wiaryga-Minieski

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich

30

— Moja Agnesiu! — krzyknęła już prawie Józia, która na razie miała dosyć rozmowy z przywiązaną, ale zanadto gadatliwą Agnieszką — prosze iść obudzić państwo, bo chciałabym się przywitać.

Agnieszka stała przez chwilę z otwartemi ustami, jakby przerwany potok wymowy miał znowu popłynąć ze zdwojoną może siłą.

Nie powiedziała jednak nic, machnęła ręką, fartuchem obtarła nos i oczy i człapiąc pantoflami, wyszła z kuchni.

Energicznie zapukała do drzwi małżeńskiej sypialni państwa Maliniewiczów.

— Kto tam?... — odezwał się zaspany głos pana.

— To ja, Agnieszka... Proszę pana, panienka przyjechała!...

— Czego chcesz?

— A toć panienka nasza przyjechała!...

— Jaka panienka?!... Panna Kazia?!

— Panna Józia!.. Pani Żarnicka!... — krzyknęła Agnieszka, poczem zamruczała sama do siebie:

— To ci hycel, nie ojciec! On już może zapomniał, że ma córkę!

Za drzwami słychać było jakieś półgłośne szepty. Wreszcie radca zapytał:

— Z mężem przyjechała?

— Nie, sama... Przecie mąż przy wojsku.

— Niech Agnieszka powie panience, że zaraz do niej wyjdę.

— Nie masz się czego tak spieszyć — dał się słyszeć głos kobiecy, brzmiący sucho i stanowczo — także pomysł przyjeżdżać ni stąd, ni zowąd o tak wczesnej godzinie i wyciągać ludzi z łóżka.

— Ale, bo widzisz... — zaczął radca Maliniewicz.

— Już tylko daj spokój — odrzuciła kobieta tonem, który wykluczał wszelką dyskusyę — niby to nie znasz swojej córuni! Niby to nie wiesz, że ona jest zawsze ekscentryczna i lubi urządzać niespodzianki.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Całuję rączki tatusiowi.

— A to ty, Józka... Przyjechałaś...

— Przyjechałam, tatusiu.

— A tak... tak... Jak się masz — rzucił z roztargnieniem Maliniewicz i musnął lekko ustami czoło córki, która pochyliła się mu do ręki. — No i po co przyjechałaś? Masz jaki interes do Krakowa?

Józi zrobiło się nagle bardzo zimno koło serca. Puściła rękę ojcowską, zacięła usta i cofnęła się o kilka kroków. Przez chwilę nie odpowiadała, bo ją coś ścisnęło w gardle.

— Przyjechałam odwiedzić tatusia... Kazię zobaczyć... — wyrzekła wreszcie.

Radca przesuął po twarzy córki obojętnem spojrzeniem.

— A tak... Że ci też nie było szkoda czasu, fatygi i pieniędzy. Podróżowanie w obecnych czasach nie należy do przyjemności. Agnieszka, podawać śniadanie! — krzyknął i usiadł przy stole.

— Mój drogi, czego tak krzyczysz? Aż ściany się zatrzęsły? Do czego to podobne? — przemówiła chłodnym, mentorskim, strofującym tonem żona, wchodząc.

Maliniewicz żżymnął sie niecierpliwie.

— Moja Adelko i cóż ci to szkodzi?!

— Szkodzi i bardzo nawet, bo mnie to razi i denerwuje. Nie jestem do wrzasków przyzwyczajona — ostatnie słowa wypowiedziała ze szczególnym naciskiem i zmierzyła męża zimnem, wyniosłem spojrzeniem.

Radca zżuł w zębach jakieś przekleństwo, ale nie odpowiedział już nic.

Józia patrzyła zdumiona, nie wierząc własnym oczom i uszom. Jakto, jej ojciec tak bezwzględnie despotyczny, nie znoszący oporu, brutalny często, pozwala się teraz strofować żonie, jakby był niegrzecznym chłopcem, nie wybucha gniewem, nie odpowiada nawet.

Co to jest? Jakąż to władzę ta kobieta zdobyła nad nim? Piękna jest, to prawda, ale...

— Aha! To twoja córka... Jak się masz, moja kochana...

Józia sztywnym krokiem podchodzi ku macosze i z widocznym przymusem dotyka ustami jej ręki.

Maliniewiczowa z badawczem zaciekawieniem ogląda pasierbicę od stóp do głowy.

— Bardzo źle wyglądasz — czyni uwagę — i ubrana jesteś fatalnie. Zmiłuj się! Kto teraz nosi takie rękawy?! I wązką spódnicę?!

Józia czerwieni się.

— Idę prosto z kolei.

— I do drogi szanująca się kobieta porządnie się ubiera — poucza Maliniewiczowa, rzucając wzrokiem w lśniącą szybę dużego zwierciadła, które odbija jej wysoką postać, opłyniętą fałdami wykwintnego szlafroka, barwy „starego złota“. Szlafrok ten, obficie zdobny w koronki, hafty i wstążki, jest przesadnie strojny, jak na ranne ubranie domowe.

Józia stoi, wspierając ręce na poręczy krzesła i przenosi wzrok od macochy do ojca, który pilnie ogląda swoje starannie pielęgnowane paznokcie

— Siadaj, dlaczego stoisz? — mówi Maliniewiczowa do Józi.

Młoda kobieta siada machinalnie, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi. W myśli jej snują się obrazy, wywołane po części z własnych, zamglonych wspomnień wczesnego dzieciństwa, a daleko więcej z tajemnych a plastycznych, dosadnych opowiadań Agnieszki.

Tu, na tem miejscu, gdzie teraz rozpiera się tak wyniośle i dumnie macocha, siedziała niegdyś matka Józina, słodka, dobra, kochana mateczka. Tylko inna zupełnie. Biedna bardzo, cicha, pokorna, potulna zahukana... Spłakana często i nieszczęśliwa.

W córce zatkał żal i zakipiało oburzenie. Z głuchą, bolącą urazą, z nienawiścią prawie spojrzała na ojca, smarującego najspokojniej w świecie chleb masłem.

Agnieszka wniosła na tacy śniadanie. Maliniewiczowa powąchała kawę, dotknęła ręką porcelanowej maszynki, badając, czy dość gorąca i zajrzała do białego garnuszka z mlekiem.

— Co to za śmietanka dzisiaj! Gdzie kożuszek?!

— Niema kożuszka! — odpowiada hardym, wyzywającym tonem stara sługa, rzucając pani domu spojrzenie więcej jak niechętne.

— Gdzie się podział?! Co to znaczy?! Ja muszę mieć mleko porządne, bo ja porządnie płacę. Agnieszka wypiła śmietankę z wierzchu!

— Nie wypiłam!

— Jeszcze śmiesz zaprzeczać! Wytrącę z pensyi.

— Niech sobie pani wytrąca!

— Agnieszka, cicho! — huknął Maliniewicz i pięścią w stół uderzył.

— Nie krzycz! — upomniała go żona, ale sama mówiła bardzo podniesionym głosem, a oczy jej duże, szmaragdowo-zielone, połyskiwały gniewem.

Józia, zaczerwieniona z przykrości, uznała, że powinna wtrącić się.

— To moja, zdaje się, wina — rzekła, siląc się na spokój — przyszłam zgłodniała z drogi i prosiłam Agnieszkę o śniadanie. Zrobiła mi kawy i to pewnie dla mnie...

— Aha!... Rozumie się, że tak było! Ale czy nie uważasz, że stosowniej było zapanować nad apetytem i poczekać aż ja wstanę!

— Jakże! Głodna panienka miała czekać! A cóż to ona w obcym domu! — wybuchnęła Agnieszka.

— Milczeć!

— Co się pan tak udziera na mnie?! Ja nie pies, żeby na mnie krzyczeć i nie zlęknę się!

— Istotnie, zbłądziłam i przepraszam — powiedziała napozór zupełnie spokojnie Józia. — Zapomniałam, że... Moja Agnesiu, moja złota, proszę bądź już cicho i idź sobie teraz — szepnęła cichutko, nachylając się do służącej.

Agnieszka usłuchała prośby swojej ulubionej panienki i wyszła z pokoju, przyczem niezbyt delikatnie i bynajmniej nie cicho zamknęła drzwi za sobą.

— Ta stara staje się niemożliwą — zauważył gniewnie Maliniewicz.

— Przyzwyczajona była rządzić, a nie słuchać — odparła żona — ale teraz skończyło się! Od pierwszego niechaj sobie idzie stara niedołęga! Znajdę służącą młodą i zgrabną.

— Oczywiście — przytakiwał radca i podniósł do ust kromkę obficie posmarowaną masłem. — Wiesz, Adelko wyborna bułka. Udała ci się.

No, chyba. Ja nie pozwolę, żeby coś się zepsuło.

W jadalni zapanowała cisza, przerywana brzękiem łyżeczek i lekkim chrzęstem gryzionych kąsków. Maliniewiczowie z apetytem spożywali śniadanie.

Pani jadła dużo, ale powoli bardzo i z jakąś przesadną dystynkcyą, jak gdyby chcąc dać lekcyę wykwintnego jedzenia mężowi, który wszakże z tej poglądowej metody nie korzystał wcale, bo patrzył tylko w swoją szklankę, wciągał trochę głośno kawę w usta i mlaskał niekiedy pełnemi, czerwonemi, zmysłowemi wargami.

Józia udawała tylko że je i w duchu czyniła spostrzeżenie, że jej ciemny, lepki chleb daleko lepiej smakował tam w kuchni, aniżeli teraz doskonałe białe pieczywo.

Chłodna obojętność ojca zaprawiała jej każdy kęs goryczą, a obecność macochy mroziła poprostu.

Młoda kobieta rzucała z pod spuszczonych powiek ukradkowe spojrzenia to na ojca, to na jego żonę. Skonstatowała, że ojciec, chociaż ciągle zasługuje na miano przystojnego, „dobrze zakonserwowanego pana“, postarzał się jednak, utył i nabrał cech nieznanej mu dawniej ociężałości.

Macosze nie mogła odmówić piękności, klasycznie regularnych rysów. Piękność ta wszakże miała w sobie coś lodowatego i raczej odpychała niż pociągała, przynajmniej Józię. Te oczy zielone, świecące blaskiem zimnym i ostrym, ta krwawa smuga ust, bez zarzutu wykrojonych, ale zaciętych, twardych, niemiłych w wyrazie.. Te włosy malowane na kolor rudawo-złoty, ta cera zanadto nieskazitelnie, jednostajnie biała, aby mogła być naturalną...

Z jakiemś dość rzadkiem u niej uczuciem złośliwej, mściwej satysfakcyi pochwytywała na twarzy macochy ślady zniszczenia, spowodowanego przez nieubłagany czas — dwie brzydkie fałdki koło ust, siatki zmarszczek na skroniach i w kątach oczu, jakieś plamki żółtawe na twarzy niedostatecznie uszminkowanej o tak wczesnej godzinie, przerzedzenie włosów niefryzowanych jeszcze. Coś zwiędłego, zmiętego, sztucznego biło od tej wysokiej, tęgiej, dobrze zbudowanej kobiety, o kształtach obwisłych już trochę, jak zwykle od każdej starzejącej się piękności, która nie chce i nie umie zrezygnować w porę z uroku swoich wdzięków.

Urodzie Maliniewiczowej brakło przytem zupełnie pierwiastku uduchowienia, który trwa i żyje, choć kształty tracą już swoją sprężystość, płeć gładkość i oczy blask.

Macocha nawzajem ciekawie i krytycznie obserwowała pasierbicę. W końcu Maliniewiczowa pierwsza przerwała milczenie.

— Na długo przyjechałaś?

— O, na bardzo krótko! — odpowiedziała z goryczą. — Najwyżej na dwa dni.

— Naturalnie, szkoda czasu i pieniędzy, jeśli nie masz specyalnego interesu — dodał szybko ojciec.

— I my w tym tygodniu wyjeżdżamy — uzupełniła żona.

— Tak? Dokąd?

— Do Zakopanego na kilka tygodni.

W Józi wzbiera znowu fala goryczy, żalu, zazdrości.

— Jak oni chcą się mnie pozbyć jak najprędzej — kołacze jej w mózgu myśl — a sami pojadą sobie do Zakopanego. Będą się bawić, oddychać świeżem, czystem powietrzem, weseli, bez troski... I to jest ojciec... i to jest dom rodzicielski... Znowu się łudziłam, a teraz wiem, że nie mam domu... Że nie mam rodziców.

Uświadamia sobie z niezachwianą, nieubłaganą pewnością, że musi wrócić do Łykowa, musi poddać się tyranii mamy Żarnickiej, znosić w pokorze jej szykany, bo niema innego wyjścia, niema innego schronienia.

— Więc twój mąż jest przy wojsku? — zadaje znów pytanie Maliniewiczowa.

— Tak.

— Ale nie na froncie?

— Nie.

— A czemże właściwie jest z zawodu twój mąż, bo doprawdy nie pamiętam.

— Prawnikiem.

— Ma jaki urząd, czy też idzie na drogę adwokacką?

— Nie wiem, bo jeszcze nie pozdawał ostatecznych egzaminów.

— O! — zadziwiła się Maliniewiczowa — nie pozdawał jeszcze? Przecież nie jest już taki młodziutki. I dlaczegóż to zwleka tak długo?

— Doprawdy, nie wchodzę w to, bo to w zupełności jego rzecz — odrzuciła Józia, poirytowana tą indagacyą.

— Chyba także i twoja potrosze. Ale rozdział majątku dokonany?

— Nie wiem.

— Jakto, nie wiesz, czy twój mąż sam zarządza należną mu częścią majątku?

— Nie interesowałam się tem dotychczas.

— Doprawdy, zadziwiasz mnie swoim brakiem zainteresowania w najżywotniejszych sprawach.

— A cóż ją to obchodzi, byle jej nic nie brakowało — wtrącił niecierpliwie Maliniewicz. — Niech sobie będzie, jak chce.

— Pozwól, ale braknąć może, a wtedy do kogo zwróci się? Do ojca? A my sami mamy...

Twarz Józi oblewa się ognistym rumieńcem.

— Może mama być spokojną — przerywa trochę już szorstko — nie będę niczego od ojca wymagała. W każdym wypadku dam sobie sama radę.

— Tak się to mówi, a później... Z tego wszystkiego jednak wnosze, że nieszczególną zrobiłaś partyę. Nie było się czego tak spieszyć. Jesteś bardzo przystojna i gdybyś się ubrała porządnie, mogłabyś bardzo podobać się.

— Podobała się aż zanadto. Już mi to łokciem wyłaziło — mruknął pod nosem Maliniewicz, wysączając ostatnią kroplę kawy ze szklanki.

Komplement macochy nie sprawia Józi żadnej przyjemności, natomiast serce jej rozrania się coraz silniej krwawą urazą do ojca, zwłaszcza gdy radca, przełknąwszy ostatni łyk, powiada głośno:

— Nie przewracajże jej w głowie, moja Adelciu. Całe szczęście, że poszła już za mąż!

— Tak, tak, trochę za dużo miała temperamentu — komentuje żona ze złośliwym uśmiechem.

Józia zaciska zęby i nerwowo bawi się serwetką. Najchętniej uciekłaby stąd zaraz.

Nareszcie śniadanie skończone. Maliniewiczowie wstają od stołu i Józia podnosi się także z krzesła z uczuciem ulgi.

— Doprawdy nie wiem, gdzieby cię umieścić — mówi radczyni, robiąc minę wielce zakłopotaną — bo...

— Jeżeli sprawiam za dużo kłopotu, to mogę przenocować w hotelu — rzuciła Józia przycisznym, łamiącym się głosem, bo zaczynały ją dławić gorzkie, palące łzy.

Maliniewiczowa zmieszała się nieco

— Ale cóż znowu.. Nie wypada.. Znajdzie się przecież u nas jakieś pomieszczenie... Jest wolny ten pokoik koło kuchni.

— Ten, w którym dawniej mieszkała pokojówka? — wyrywa się Józi mimowolnie na usta.

— Bardzo porządny pokój — brzmi bardzo chłodna odpowiedź — ładne tu były porządki, żeby służce dawać takie wygody To też i takie było gospodarstwo.

Józia w milczeniu przyjęła wyznaczone jej pomieszczenie, nie śmiąc zapytać nawet, jakie też obecnie przeznaczenie ma pokój, który dawniej zajmowała razem ze siostrą.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Józia, zmieniwszy czapeczkę na jasny słomkowy kapelusz i ciemną i zmiętą z drogi bluzkę na białą i świeżą, wyszła na ulicę, tonącą w powodzi lipcowego słońca.

Zdecydowała się, by nazajutrz wracać do Łykowa, chciała więc wykorzystać krótki czas pobytu. Przejść się po mieście, odwiedzić siostrę w klasztornym pensyonacie, zobaczyć jakich znajomych, którą z dawnych koleżanek.

Odleciało ją już radosne, swobodne usposobienie, w jakiem witała Kraków, rozwiały się nieokreślone rojenia i nadzieje, które ją gnały w tę podróż. Jechała jak po wyzwolenie, a na wstępie zaraz przekonała się, że dobrowolnie wracać musi do więzienia.

— Jaka ja byłam znowu głupia, szalona — śmieje się sama z siebie, ale tym śmiechem, co pali goręcej niż łzy — co mi się ubzdurało, niby ojciec miałby się tak zmienić? A czy on kiedy troszczył się o mnie? Abym go tylko jak najmniej kosztowała. Tembardziej teraz.

Niemniej ciekawa była Krakowa, którego nie widziała przeszło rok, spragniona wrażeń odmiennych, choćby trochę miłych.

— Tylko jeden dzień użyć swobody... Tylko jeden dzień..

Na zakręcie ulicy zetknęła się nagle oko w oko ze szczupłym, niepokaźnym człowieczkiem, o zielonawo połyskujących, chytrych oczach, sinawych wargach i wysuniętej, drgającej szczęce złego buldoga.

Ruchy miał tak elastyczne, jakby cały był z gumy lub z gutaperki. Ubrany był z fryzyerską elegancyą, która czyniła go brzydszym jeszcze i bardziej antypatycznym.

Na widok Józi oczy owego jegomościa zapłonęły jakimś niesamowitym ogniem, a twarz zaczęła drgać nerwowo. Sięgnął do kapelusza i ukłonił się nizko, ale fizyognomia jego w tej chwili przypominała rozwścieklonego na uwięzi buldoga, który czeka tylko stosownej chwili, by ugryźć.

Józia zmieszana oddała ukłon i odwróciła zaraz głowę. Nie miała ochoty patrzeć na swego dawnego natarczywego konkurenta, pana Słobińskiego, którego przed rokiem chciał jej ojciec koniecznie narzucić na męża.

Wstrząsnęła się mimowolnie Przyspieszyła kroku i skierowała się na planty. Po chwili obejrzała się, zdjęta nagłą obawą, że Słobiński idzie w trop za nią. Myliła się jednak. Nie ścigał jej ale stał jeszcze ciągle na rogu ulicy i wzrokiem tylko gonił Józię.

Młoda kobieta czuła, że ogarnia ją jakiś zabobonny przestrach.

— Zły znak, że jego pierwszego ze znajomych spotkałam — pomyślała, ale roześmiała się sama z tej niedorzecznej obawy.

— Przecież każdemu wolno chodzić po ulicy. Co on mi zrobić może? Ale pomyśleć, że ja mogłabym być jego żoną! Nie! Co to, to nigdy!... Gdyby mnie ociec zmusił, to raczej byłabym...

Zdjął ją lęk przed własną myślą. Wstrząsnęła się z takiem przerażeniem, jakgdyby jeszcze istniała możliwość tego straszliwego, beznadziejnego wyboru.

Ale po chwili omal, że się głośno nie roześmiała.

— Co mi to za dziecinady przychodzą do głowy. Mam się też kim trapić — panem Słobińskim!...

Podniosła głowę i wedle zwyczaju swego odrzuciła ją nieco w tył, poddając twarz, nieosłoniętą woalką, gorącej pieszczocie słońca.

Żar przenikał przez cienki batyst bluzki i rozpalał różowo przebłyskującą z pod przejrzystej osłonki skórę ręki, wciskał się w „ażurki" karczka, bił strzałami promieni w obnażoną szyję.

Kwiaty w kwietniku przed „Collegium Novum" pochyliły główki, jakby omdlewając. Zapach róż, duszący i słodka woń okwitających lip mieszały się z kształtującym, suchym pyłem, który dochodził z ulicy.

Asfalt ścieżki zmiękł od gorąca i uginał się pod nogą.

Mimo upału i olśniewającego żaru słonecznego wszystkie ławki w „kółku" przed uniwersytetem były zajęte, przeważnie przez zdrowiejących żołnierzy i kobiety z dziećmi.

Żołnierze wygrzewali na słońcu swoje zmizerowane, wychudłe twarze i poglądali na goniące z głośnym tupotem małych nóżek dzieciaki.

Jeden z nich, starszy już mężczyzna z włosami i brodą przetkanemi srebrzystemi nićmi, zajął sam jeden całą ławkę dla siebie, bo musiał ułożyć wygodnie swoją ranną nogę tak grubo owiniętą bandażami, że robiła wrażenie bezkształtnego kloca.

Blado-niebieskie, tęskne, zmęczone oczy stawały się słodkie i rozrzewnione. kiedy ślizgały się po buziakach dziecięcych. Na wynędzniałej twarzy pojawił się błogi uśmiech, ilekroć donośniej, hałaśliwiej zabrzmiał niefrasobliwy szczebiot i żwawiej zatupotały drobne nóżęta.

Próbował zagadywać do dzieci, przyzywał je ku sobie wymownymi gestami, spojrzeniami i uśmiechami. Ale dzieci nie rozumiały go, bo przemawiał obcym językiem, do którego starał się wplatać dziwacznie przekręcone słowa polskie.

Opodal siedział młody człowiek blady, chmurny, z jakimś rysem zaciętości wokół ust blado-różowych, wykrojonych w przecudny, miękki łuk.

Na rękawie kurtki żołnierskiej miał odznakę jednoroczniaka, na piersi błyszczał mu duży medal, a z prawego ramienia zwisał pusty rękaw.

Na kolanach trzymał książkę, ale nie szło mu jakoś czytanie. Wzrok co chwila odrywał się od zadrukowanych kart i gubił się wśród przechodniów.

Józi zdało się, że poznaje tego młodzieńca. Tak, tak, dokładnie przypomniała sobie, że go często widywała przed wojną. Spotykała go to na plantach, to na Błoniach. Nie miał wtedy ani tak bladej twarzy, ani tak zaciśniętych ust i posiadał obie zdrowe ręce.

Miękki, fantazyjnie wywinięty kapelusz, czarna aksamitna kurtka i przybory malarskie, z któremi się bezustannie nosił, świadczyły, że należy do adeptów sztuki.

Pewnego razu chciał nawet narysować portret Józi, która wymknęła się „za szkołę" do Parku Jordana i siedziała na ławce w towarzystwie koleżanek.

Panienka nie zezwoliła jednak na uwiecznienie swojej fizyognomii i obróciła się poprostu do zuchwałego malarza plecami przy akompaniamencie głośnego śmiechu koleżanek, zachwyconych tą demonstracyą a zazdrosnych trochę, że malarz właśnie tylko Józię pragnął sportretować.

Przeleciało jej to wspomnienie błyskawicą przez mózg i ścisnęło się serce współczuciem. Ten rękaw pusty! Boże! Ten pusty rękaw!

— Biedaczysko!... Co za straszne nieszczęście dla malarza!... Co on teraz zrobi?...

I znowu w głowie Józinej budzi się pytanie, niecierpliwe, buntownicze, które ma jednak pozostać bez odpowiedzi

— Dlaczego to tak?! Dlaczego?... Tyle łez, tyle nieszczęścia, tyle okropności! Dlaczego?...

Radaby Józia, aby jej ktoś to wyjaśnił, a nie wie, że cała ludzkość zadaje sobie to samo pytanie, a odpowiada jej huk armat i jęki rannych.

Spotkały się na chwilę oczy Józi Zarnickiej i młodego żołnierza bez ręki. I on snać poznał młodą kobietę, bo oczy mu nagle żywo błysnęły i usta drgnęły jakby do śmiechu, który zamarł wszakże, zanim zdążył złagodzić posępność tej młodej twarzy.

Żołnierz-kaleka opuścił wzrok i utkwił go w książce Nie popatrzył już więcej na Józię.

Ale i jej uwagę zajęła już jakaś inna twarz.

Młoda kobieta skręciła w aleję wiodącą ku ulicy Szewskiej. Ciekawie rozglądała się wokół, upatrując znajomych twarzy — na razie napróżno. Za to z serdeczną uciechą poznawała i witała wzrokiem każde drzewo, każdą ławkę Wszystko tutaj owiane było ciepłem wspomnień, błahych przeważnie, ale miłych.

Oł, tu na tej ławce cienistej. jeżeli to ta sama jeszcze, muszą być wyrżnięte imiona Józi i Tosi, ówczesnej jej przyjaciółki i powiernicy „od serca".

Tam u wylotu ulicy św. Anny wyrastał jakby z pod ziemi Jurek, a z przeciwnej strony, od ulicy Studenckiej żeglował rywal jego „realista" Kazio Szanecki, wymuskany zawsze, doskonale opięty i bajecznie utryzowany paniczyk.

A tu znowu zdążało się do pewnej cukierenki na Brackiej, gdzie były wyśmienite ciastka po cztery centy.

— Ile to razy tak się objadałam temi ciastkami, że aż chorowałam później! — wzdycha Józia, jakby to wspomnienie właśnie należało do najmilszych. — Ale co to za pyszna zabawa nieraz bywała!

Ta „pyszna zabawa" kończyła się częstokroć gorzkiemi łzami. Surowa, nieubłagana Nemezis kazała drogo płacić za krótkotrwałe chwile wesołości i swawoli, przybierając na się postacie to ojca, to ciotki, to wreszcie tej oto pani, która dąży teraz wprost ku Józi, nie spostrzegając jej jednak.

Sucha, bardzo wązka twarz ze spiczastym nosem, zaostrzoną brodą i czarnemi, niedużemi inkwizytorskiemi oczami. Ten sam nieśmiertelny czarny słomkowy kapelusz na włosach mysiego koloru, sztywnych, gładkich, energicznie zeszczotkowanych i zwiniętych z tyłu w twardy, mocny, bynajmniej nie grecki węzeł.

Jednem słowem panna Fidlerówna, zwana przez uczenice „Fidlerycą" albo „bazyliszkiem", dawna nauczycielka Józi, gospodyni jej klasy i stała, konsekwentna prześladowczyni żywej jak iskra i swawolnej jak chochlik dziewczynki.

Ona zawsze umiała wyśledzić każdy figiel Józi i okazywała szczególną zdolność w kierunku łapania roztrzepanej uczenicy na nieuwadze i dowodnego wykazywania jej, że o zadanej lekcji niema pojęcia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim.

Minione święta Bożego Narodzenia przyniosły nam przynajmniej nadzieję pokoju. Rozpoczęte po zawarciu zawieszenia broni rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim doprowadziły do ustalenia wspólnych zasad, na których mają się opierać dalsze układy, przyczem wzięto pod uwagę wszystkie walczące państwa.

O przebiegu tych przedwstępnych narad i ich wyniku c. k. Biuro Korespondencyjne podaje pod datą 25 grudnia następującą relacyę:

Na posiedzeniu z dnia 22 grudnia oświadczyła delegacya rosyjska, że punktem wyjścia jest dla niej wola narodów Rosyi dojścia możliwie szybko do zawarcia ogólnie sprawiedliwego pokoju, nadającego się w równej mierze do przyjęcia przez wszystkich. Powołując się na uchwały wszechrosyjskiego kongresu delegatów robotników i żołnierzy i wszechrosyjskiego kongresu chłopów, wskazała delegacya rosyjska na to, że uważa za zbrodnię kontynuowanie wojny jedynie celem osiągnięcia aneksyi, obwieszcza zatem uroczyście swą decyzyę podpisania niezwłocznie warunków pokoju, któryby skończył tę wojnę na podstawie przytoczonych, bez wyjątku dla wszystkich narodów w równej mierze sprawiedliwych warunków. Opierając się na tych zasadach, zaproponowała delegacya rosyjska, aby następujących sześć punktów uczynić podstawą rokowań pokojowych:



Rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim: Członkowie komisyi austryackiej i niemieckiej oczekują na przybycie delegatów rosyjskich (Fot. Bufa)





Rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim

Budynek, w którym odbyły się rokowania o zawieszenie broni

Wejście do sali obrad (Fot Bufa



Rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim Delegaci rosyjscy po opuszczeniu pociągu na dworcu kolejowym w Brześciu Litewskim. Od lewej ku prawej: Major Brinkmann, Joffe (przewodniczący delegacyi), pani Bicenko, Kamieniew i Karachan (sekretarz delegacyi). (Fot Bufa)

I) Nie będzie zezwolonem złączenie przemocą obszarów, które zostały w czasie wojny wzięte w posiadanie. Wojska, które obsadziły te obszary, będą w najkrótszym czasie wycofane.

II) Polityczna samodzielność ludów, które w tej wojnie utraciły samodzielność, będzie przywrócona w całej rozciągłości.

III) Grupy narodowe, które przed wojną politycznie nie były samodzielne, będą miały zapewnioną możliwość rozstrzygnięcia przez referendum sprawy przynależności do jednego lub drugiego państwa, względnie o swej państwowej samodzielności. To referendum musi być w ten sposób przeprowadzone, że daną będzie gwarancya zupełnej niezależności przy oddawaniu głosów przez całą ludność odnośnego obszaru, włącznie z emigrantami i uchodźcami.

IV) Odnośnie do obszarów o mieszanych narodowościach będzie osobną ustawą chronione prawo mniejszości, które da jej samodzielność narodowej kultury, a jeżeli to w praktyce możliwe jest do przeprowadzenia, autonomiczny zarząd.

V) Żaden z krajów, prowadzących wojnę, nie jest obowiązany do płacenia drugiemu krajowi tak zwanych kosztów wojennych. Wybrane już kontrybucye należy zwrócić. Co dotyczy odszkodowania strat osób prywatnych, spowodowanych wojną, to będą one wyrównane ze specyalnego funduszu, do którego prowadzący wojnę przyczynią się według proporcyi.

VI) Sprawy kolonialne będą rozstrzygnięte przy uwzględnieniu zasad przedstawionych pod I. do IV.

W uzupełnieniu tych punktów zaproponowała rosyjska delegacya stronom, mającym zawrzeć układy, aby określiły jako niedopuszczalne wszelkiego ro-



Rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim: Przyjęcie delegatów rosyjskich na dworcu kolejowym w Brześciu Litewskim. Od lewej ku prawej: kapitan Lipski, kapitan Trohta, podpułkownik, Fokke, jenerał Skałłon, (który po zawarciu rozejmu popełnił samobójstwo), kontradmirał Altvater. (Fot. Bufa)

dzajn ukryte zwalczanie wolności słabych narodów przez mocne, n. p. przez bojkot gospodarczy, gospodarczą przewagę jednego krajn nad drugim na podstawie narzuconych traktatów handlowych, przez osobne układy cłowe, które ograniczają wolność handlu krajów trzecich, przez blokadę morską, która nie ma bezpośrednich celów wojennych.

W odpowiedzi na powyższe propozycye pełnomocniony przedstawiciel Austro-Węgier hr. Czernin, na posiedzeniu konferencyi pokojowej w dniu 25 grudnia złożył następujące oświadczenie:



Rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim: Pani A. Bizenko, wchodząca w skład rosyjskiej delegacyi pokojowej (Fot. Bufa)

Delegacye sprzymierzonych mocarstw wychodzą z jasno wyrażonej woli ich rządów i narodów osiągnięcia możliwie szybko zawarcia ogólnego sprawiedliwego pokoju.

Delegacye sprzymierzonych zgodnie z kilkakrotnie obwieszczonem stanowiskiem ich rządów są zapatrywania, że myśli przewodnie rosyjskiej propozycyi mogłyby tworzyć nadającą się do dyskusyi podstawę dla takiego pokoju. Delegacye czwórprzymierza zgadzają się na natychmiastowy ogólny pokój bez nabytku obszarów przemocą i bez odszkodowań wojennych. Jeżeli rosyjska delegacya potępia kontynuowanie wojny jedynie dla celów zaborczych, to delegacye sprzymierzonych przyłączają się do tego poglądu. Mężowie stanu sprzymierzonych rządów kilkakrotnie podkreślili w programowych oświadczeniach, że sprzymierzeni dla celów zaborczych nie przedłużyliby wojny ani o jeden dzień. Tego stanowiska rządy sprzymierzone zawsze niezłomnie się trzymały. Oświadczają one uroczyście swą decyzyę natychmiastowego podpisania pokoju, którvby ukończył tę wojnę na podstawie powyższych bez wyjątku dla wszystkich prowadzących wojnę mocarstw w równej mierze sprawiedliwych warunków. Trzeba jednak wyraźnie na to wskazać, że wszystkie państwa, biorące teraz w wojnie udział, muszą się zobowiązać w przeciągu stosownego terminu, bez wyjątku i bez wszelkich zastrzeżeń, do najdokładniejszego przestrzegania warunków, wiążących w równej mierze wszystkie ludy, jeżeli założenia rosyjskiego wywodu mają być wypełnione, gdyż nie uchodziłoby, aby mocarstwa czwórprzymierza, prowadzące rokowania z Rosyą, jednostronnie uchwaliły dla siebie te warunki, nie mając gwarancyi tego, że sojusznicy Rosyi uczciwie i bez zastrzeżeń także wobec czwórprzymierza te warunki uznają i przeprowadzą.

Po wstępnej uwadze należy co do zaproponowanych za podstawę rokowań przez rosyjską delegacyę sześciu punktów podnieść co następuje:

Do punktu I): Przywłaszczenie sobie przemocą obszarów, które podczas wojny zostały obsadzone, nie jest zamiarem sprzymierzonych rządów. Co do wojsk w obszarach w danej chwili obsadzonych,



Rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim: Przed budynkiem, w którym odbywały się obrady delegatów Rosyi i mocarstw centralnych. (Fot. Bufa)



Rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim: Rosyjscy delegaci w Brześciu Litewskim przy odbiorze depesz z Petersburga. (Fot. Bufa)

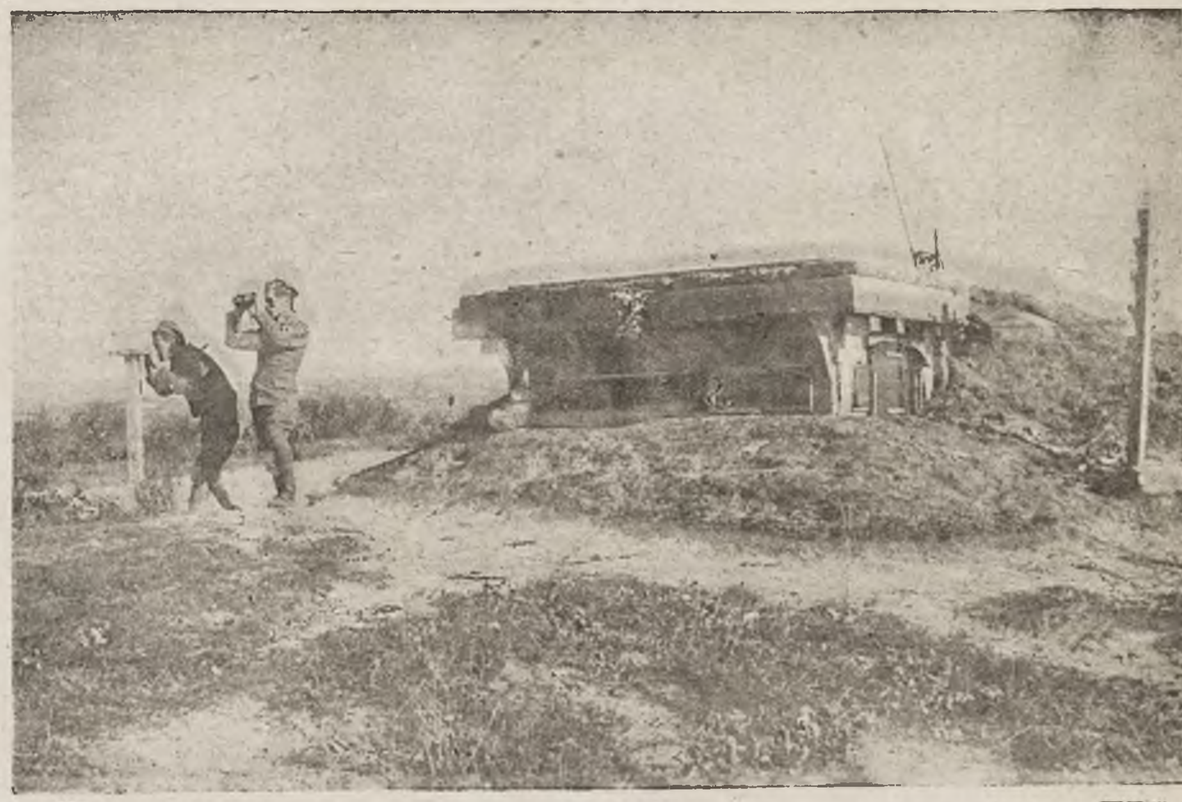
powzięte będzie postanowienie w układzie pokojowym, o ile co do wycofania ich na poszczególnych miejscach nie będzie przedtem osiągniętą zgoda.

Do punktu II): Nie jest zamiarem sprzymierzonych którąś z narodów, które w tej wojnie straciły swą polityczną samodzielność, pozbawić tej samodzielności.

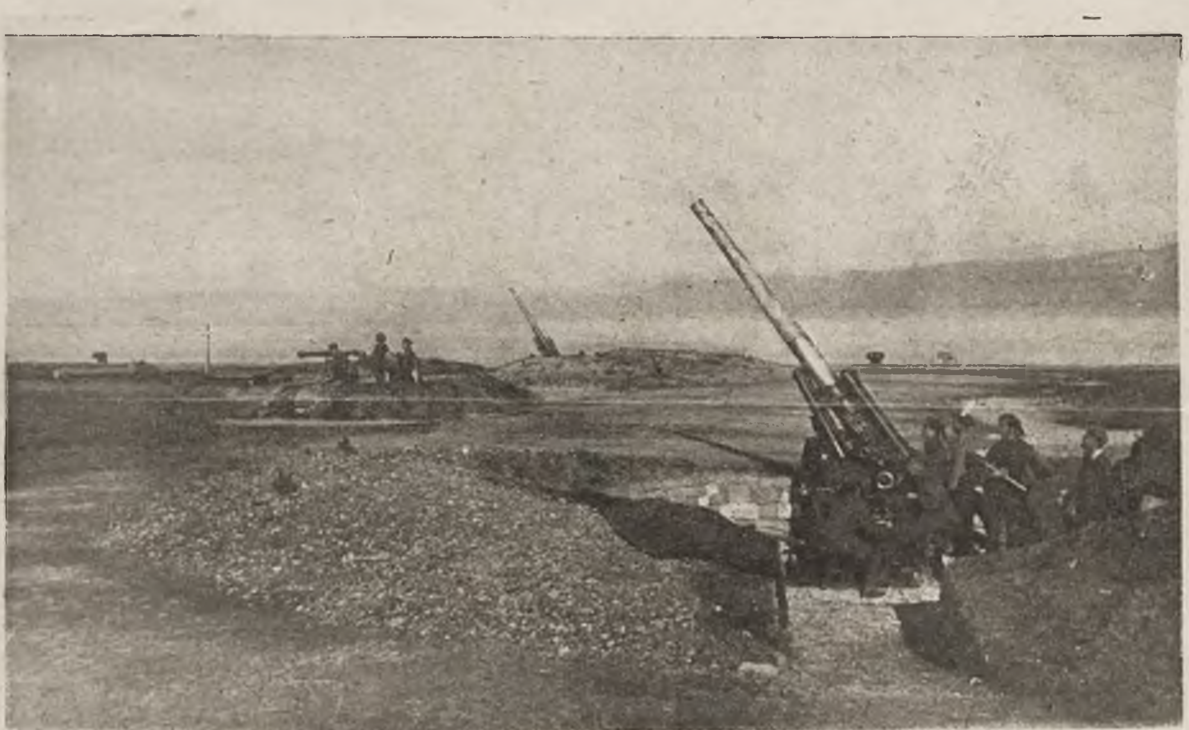
Do punktu III): Sprawa państwowych przynależności grup narodowych, które nie mają samodzielności państwowej, nie może być według punktu widzenia mocarstw czwórprzymierza uregulowaną w drodze międzypaństwowej; ma ją w danym wypadku każde państwo rozwiązać ze swemi ludami samoistnie na drodze konstytucyjnej.

Do punktu IV): Podobnie po myśli oświadczeń mężów stanu czwórprzymierza i ochrona praw mniejszości jest istotną częścią składową konstytucyjnego prawa samoprstanowienia narodów. Także rządy sprzymierzonych uwzględniają tę zasadę wszędzie, o ile praktycznie jest ona do przeprowadzenia.

Do punktu V): Sprzymierzone mocarstwa podkreślały kilkakrotnie możliwość, iż nietylko zwrotu kosztów, lecz także zwrotu szkód wojennych możnaby się nawzajem zrzec, wobec czego byłyby tylko do pokrycia przez każde z państw prowadzących wojnę koszta za swych obywateli, popadłych w niewolę, jakoteż szkody, wyrządkone cywilnym poddanym przeciwnika w obrębie własnego obszaru przez akty przemocy, przeciwne prawu międzynarodowemu. Proponowane przez rząd rosyjski stworzenie specyalnego funduszu w tym celu mogłoby być dopiero wtenczas poddane rozwadze, gdyby inni prowadzący wojnę w ciągu stosownego czasu przyłączyli się do rokowań pokojowych.



Straż nad Adryą: Austryacki punkt obserwacyjny na brzegu Adryatyku (Woj. kwat. pras.)



Straż nad Adryą: Austryacka baterya nadbrzeżna nad Adryatykiem. (Woj. kwat. pras.)

Do punktu VI): Z czterech państw sprzymierzonych tylko Niemcy mają kolonie. Niemiecka delegacya w zupełnej zgodzie z rosyjskiemi propozycyami oświadcza w tej sprawie co następuje: Zwrot podczas wojny wziętych siłą w posiadanie obszarów kolonialnych jest główną częścią żądań niemieckich od których pod żadnym warunkiem nie można odstąpić. Tak samo żądania rosyjskie co do natychmiastowego opróżnienia obsadzonych przez nieprzyjaciela obszarów odpowiada zamiarom niemieckim. Natura niemieckiego obszaru kolonialnego zdaje się nie wymagać omawianych poprzednio zasadniczych względów.

Wykonanie prawa samostanowienia w formie, zaproponowanej przez rosyjską delegacyę, jest na razie nie do przeprowadzenia. Okoliczność, że w niemieckich koloniach tubylcy mimo największych do legliwości i mimo małych widoków walki przeciw nieprzyjacielowi, kilkakrotnie przeważającemu, rozporządzającemu nieograniczonym dowozem zamorskim, w potrzebie i niedoli pozostali wiernymi dla swych niemieckich przyjaciół jest dowodem ich przywiązania i ich postanowienia pozostania wśród wszelkich warunków przy Niemczech, dowodem, który co do powagi i znaczenia przewyższa wszelką możliwą manifestacyę woli przez głosowanie.

Zaproponowane przez rosyjską delegacyę w związku z omówionymi powyżej sześciu punktami, zasady gospodarczego ruchu znajdują nieograniczoną zgodę delegacyi mocarstw sprzymierzonych, które od dawna występowały za wykluczeniem wszelkiego gospodarczego pogwałcenia, a które przywróceniu uregulowanych, uwzględniających w pełni interesa wszystkich uczestników obrotów gospodarczych, widzą jeden z najważniejszych warunków wstępnych ku wdrożeniu i rozwojowi przyjaznych stosunków między mocarstwami obecnie prowadzącemi wojnę.

Nawiązując do tego oświadczenia powiedział hr. Czernin:

Na podstawie tych właśnie dopiero co przedstawionych zasad, jesteśmy gotowi wejść w rokowania z wszystkimi naszymi przeciwnikami, jednakże aby niepotrzebnie czasu nie tracić, są sprzymierzeni gotowi przystąpić natychmiast do obrad nad tymi specyalnymi punktami, których opracowanie zarówno dla rządu rosyjskiego jak i dla sprzymierzonych wydaje się na każdy wypadek potrzebne.

Odpowiadając na deklaracyę przedstawiciela Austro-Węgier oświadczył przywódca rosyjskiej delegacyi, że ta z zadowoleniem stwierdza, iż odpowiedź delegacyi Niemiec, Austro-Węgier, Bułgaryi i Turcyi przyjęła zasady ogólnego demokratycznego pokoju bez aneksyi. Uznaje ona nadzwyczajne znaczenie tego postępu na drodze do ogólnego pokoju, musi jednak zauważyć, że odpowiedź zawiera istotne ograniczenie w punkcie trzecim. Rosyjska delegacya stwierdza dalej z zadowoleniem zawarte w oświadczeniu mocarstw sprzymierzonych co do punktu V uznanie zasady „bez kontrybucyi“, czyni ona jednak zastrzeżenie co do odszkodowania za utrzymanie jeńców. Dalej oświadczyła rosyjska delegacya, że uważa za rzecz ważną, iż osoby prywatne, które ucierpiały z powodu akcyi wojennej, będą odszkodowane z międzynarodowego funduszu. Rosyjska delegacya uznaje, że opróżnienie kolonii niemieckich, obsadzonych przez przeciwnika, odpowiada zasadom



Rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim: Delegaci rosyjscy udają się do sali posiedzeń. Na przedzie: Kamieniew, Joffe i kontradmirał Altvater (Fot. Bufa)



Straż nad Adryą: Zdobyte przez wojska austryackie rury do wyrzucenia torped, założone w celach obronnych przez Włochów w porcie Grado.
(Woj. kwat. pras.)

przez nią rozwiniętym, proponuje ona, aby sprawę, czy zasada swobodnego objawienia woli ludności ma być zastosowaną do kolonii, zastrzedz dla szczególnej komisyi. W końcu oświadczył przywódca rosyjskiej delegacyi, że ta, mimo wspomnianych różnic zapatrywań, jest zdania, iż otwarte oświadczenie, zawarte w odpowiedzi mocarstw czwórprzymierza, iż nie żywią żadnych agresywnych zamiarów, daje faktyczną możliwość przystąpienia natychmiast do rokowań o ogólny pokój między państwami, prowadzącemi wojnę. Wobec tego proponuje rosyjska delegacya dziesięciodniową przerwę w rokowaniach, rozpoczynającą się dnia 25. grudnia wieczorem, a kończącą się dnia 4 stycznia, aby narody, których rządy dotychczas nie przyłączyły się do prowadzonych rokowań o powszechny pokój, miały możność zapoznania się z postawionymi teraz zasadami takiego pokoju. Po upływie tego terminu musiałyby rokowania w każdym razie być dalej prowadzone.

Przewodniczący, hr. Czernin, prosił następnie rosyjską delegacyę, aby tę swoją odpowiedź wręczyła pisemnie i zaproponował, aby natychmiast przystąpić do obrad nad tymi specyalnymi punktami, które na wszelki wypadek muszą być uregulowane między rządem rosyjskim a rządami państw sprzymierzonych.

Przywódca rosyjskiej delegacyi przyłączył się do propozycyi przewodniczącego i wyraził gotowość przystąpienia natychmiast do omawiania tych poszczególnych spraw, któreby także na wypadek ogólnych rokowań pokojowych tworzyły przedmiot szczególnych rozważań między Rosyą a czterema sprzymierzonymi.

Straż nad Adryą.

Panowanie nad Adryatykiem, to kość niezgody od lat wielu między Austryą i Włochami, które uważając się za spadkobiercę „królowej Adryatyku", Wenecyi, dążyły ciągle do tego, aby zagarnąć pod swe panowanie i części wybrzeża należące do swego byłego sprzymierzeńca Austro-Węgier. Zwłaszcza Tryest był stale celem włoskich apetytów, a zdobycie go miało Włochom z jednej strony otworzyć drogę w głąb monarchii, z drugiej zaś ułatwić zdobycie reszty Pobrzeża, Istryi i Dalmacyi.

Tem się też tłómaczą owe, idące jedna po drugiej ofenzywy włoskie, skierowane właśnie na Tryest. Rozbiły się one, jak wiadomo, o żelazny mur austryackich pozycyi, a Włosi musieli oddać nietylko owe drobne skrawki austryackiego terytoryum, jakie im się udało zająć na początku wojny, ale cofnąć się ponadto w głąb kraju i otworzyć armiom sprzymierzonym wolną drogę w stronę Wenecyi.

Lądowe sukcesy Włochów nad Adryatykiem równają się więc zeru, w parze zaś z nimi idzie i powodzenie włoskiego oręża na morzu, pomimo wybitnej pomocy reszty koalicyi, głównie zaś Anglii i Francyi. Austryacka marynarka, uważana dotąd za daleko słabszą od włoskiej, okazała w czasie obecnej kampanii znakomitą sprawność i wyszkolenie, o jakiem się Włochom ani nie śniło. Flota austryacka nie wystąpiła wprawdzie z siłami koalicyi do otwartej walki, ale wszystkie jej przedsięwzięcia uwieńczył pożądany skutek, zwłaszcza zaś wybitnem było współdziałanie austryackich sił morskich z armią lądową.

Nadzieje Włochów, że przy pomocy koalicyi uda się im zawładnąć Adryatykiem, okazały się illuzorycznemi, austryacka „straż nad Adryą" spełniła swój obowiązek i wywiązała się dzielnie z trudnego zadania.



Z frontów bojowych: Ulica Garibaldiego w Pordenone po zajęciu przez wojska sprzymierzone
(Fot Bufa.)



Z frontów bojowych Austryacka stacya meteorologiczna w Alpach Karyntyjskich
(Woj. kwat pras.)

„Niemiecki Caruso" w Krakowie.

W ogólnem zaniedbaniu sztuki szlachetnego śpiewu, jakie rozpanoszyło się na operowych scenach niemieckich, jest Alfred Piccaver, rozgłośny tenor opery wiedeńskiej, zjawiskiem wyjątkowem. Niejednokrotnie podnoszono, że nawet najsławniejsi śpiewacy operowi niemieccy, gdy idzie o belcanto, nie mogą się równać z podrzędniejszymi nawet siłami włoskimi. Piccaver jedynie pod każe pod względem sztuki władania głosem, rywalizacyę z najwybitniejszymi Włochami Z natury obdarzony wyjątkowo pięknym głosem, o którym słynny Angelo Neumann, odkrywca Piccavera, mawiał: „Gdyby Caruso miał ten głos!..." — poświęcił śpiewak kształceniu tego bezcennego instrumentu dużo usilnej pracy. Nic dziwnego, że z teatru niemieckiego w Pradze, gdzie zaczynał karyerę, szybko przeszedł do opery nadwornej, której już przed wojną odciła go Ameryka, a odbić miała na stałe, gdyby wojna nie była przeszkodziła. Dzięki temu rozkoszuje się jeszcze Wiedeń tym wyjątkowo pięknym śpiewem, który zwłaszcza w Mozarcie osiąga szczyt piękna, dzięki temu usłyszą go także Kraków i Lwów, o co postarał się dyr. Trzciński, dbały zawsze o to, by obce siły, sprowadzane do nas, wnosiły walory artystyczne, nietylko mocno reklamowane, lecz istotne.



Straż nad Adryą: Austryackie obwarowania na wybrzeżu Adryatyku. (Woj. kwat. pras.)



„Niemiecki Caruso" w Krakowie: Alfred Piccaver z c. k. opery nadwornej.

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: **Marya Segeny.**

6

— A więc, wytłumacz mi kochany doktorze — rzekł z pewnem podnieceniem — dlaczego ta posiadłość, która jest od lat piętnastu do sprzedania, dotąd nie znalazła nabywcy?

— Czy to możliwe? — zawołał Frank.

— Zapytaj pan tego człowieka. — rzekł Lopez, wskazując Paskala.

Służący skłonił się, zaznaczając, że gotów jest dać żądane wyjaśnienia.

— W każdym razie jest to rzecz szczególna — podjął znowu Frank po chwili - Czyżby duchy nawiedzały tę miejscowość? Gdyby nie czas, w którym żyjemy, gotówbym w to uwierzyc.

— W duchy nie, kochany doktorze, ale... — tu Lopez przerwał i spojrzał badawczo po towarzyszach.

— Ale w co? — nalegał Frank niecierpliwie.

— Ale w morderców. — dokończył tamten.

Frank spojrzał z przerażeniem na mówiącego. Żaden z obecnych zaś nie zauważył, że Paskal przybliżył się i śledził ciekawie ich rozmowę.

— W morderców! — powtórzył młody lekarz — Pan wspomniał o mordercach?

— Tak jest.

— Czyżby zbrodnia jaka tutaj popełniona została.

— Któż to wiedzieć może?

— Ale mówiono o tem?

— Tak, mówiono. Ale zbrodnię tę dotąd otacza niezgłębiona tajemnica.

— A pan ją zna może?

— Nie.

— Ale przypuszcza pan, że pogłoski te odstraszają dotąd nabywców i odbierają im ochotę kupienia tej posiadłości — czy nie tak?

— Rzeczywiście.

Frank zamyślił się głęboko.

— Tak jest, pan może ma słuszność — rzekł po chwili — to opuszczenie, ten wygląd ponury, wszystko to może nasunąć przypuszczenie, że w miejscu tem popełniono zbrodnię. Wyobrażam sobie, jak tu smutno musi być w nocy, kiedy wiatr szeleści w parku i słychać szum rzeki, płynącej tak blisko.

— Nie chciałby się pan stać nabywcą tego domu, nieprawdaż? — zapytał Lopez.

— Dlaczego nie?

— Niechętnie przecież mieszka się w otoczeniu widm.

— Zbrodniarze tylko mogą się ich lękać, ja nie. — zaśmiał się młody lekarz.

— Ale jednak zaczyna pan wierzyć w istnienie realne zbrodni. — zapytał Lopez.

— Nie jest to nieprawdopodobnem. Pan zaś tak mówi, jakgdyby przypuszczenie to opierał na pewnych podstawach.

— Być może.

— Wie pan, w tej chwili robi mi pan wrażenie zręcznego romansopisarza. Staje się pan tajemniczy i intygujący jak koniec rozdziału sensacyjnej powieści i jestem w oczekiwaniu „dalszego ciągu". No panie Lopez, niechże się pan pozbędzie swojej wstrzemięźliwości wobec nas i proszę nam zaraz powiedzieć, co pan wie, jeżeli wogóle wie pan coś w tym względzie.

— Pan chce tego naprawdę?

— Proszę pana.

— W takim razie uczynię zadość pańskiej prośbie. — rzekł Lopez

Podczas tej rozmowy baczny obserwator byłby zauważył, że twarz Paskala zachmurzyła się silnie. Z brwią ściągniętą i głębokim marsem na czole zawisł przenikliwem spojrzeniem na ustach Lopeza, łowiąc jego słowa.

Tym obserwatorem był właśnie Lopez, który jednak nie zdając się zwracać uwagi na tę zmianę, podjął dalszą rozmowę tym samym obojętnym i swobodnym tonem.

— Co prawda — rzekł — wiem nie wiele. Przypominam sobie tylko dobrze dzień, w którym ta historya opowiedzianą mi została. Wspomnienie, a właściwie data złowroga dla mnie utrwaliła mi ją tak w pamięci, że dotąd zapomnieć jej nie mogę.

Miałem brata, do którego gorąco i silnie przywiązany byłem. Wspólne nieszczęścia złączyły nas ściśle ze sobą i tylko śmierć sama mogła nas rozdzielić. Dzień, w którym dowiedziałem się o dramacie w willi Bierre, był dniem śmierci mojego brata, który został zamordowany.

— Co pan mówi! — wykrzyknął Frank ze zdumieniem.

— Te dwa wspomnienia tak zlały się następnie ze sobą — ciągnął dalej Lopez — że nie mogę je rozłączyć w umyśle moim. Byłem wówczas w Ameryce i właśnie zamierzałem powrócić do Francyi, kiedy jednego dnia, przy obiedzie jeden z towarzyszów moich przygodnych padł rażony atakiem apoplektycznym. Nikt z nas bliżej nie znał tego człowieka. Mówił, że jest z pochodzenia Francuzem, a że jedyny z obecnych, mówiłem jego rodzinnym językiem, pierwszy pospieszyłem mu z pomocą. Pomoc ta jednak okazała się bezskuteczną, bo człowiek ten w kilka godzin umarł na moich rękach.

Przekonałem się wówczas, jak chwila śmierci czyni tchórzami najdzielniejszych i wymownymi tych, którzy zazwyczaj otaczają się milczeniem. W czasie tych kilku godzin spędzonych przy umierającym usłyszyszałem najdziwaczniejsze zwierzenia i zeznania. Ten nieszczęśliwy był wspólnikiem zbrodni, dokonanej tutaj przed laty i jeżeli nie odkrył mi współwinnych, to obeznał mnie z ważniejszemi okolicznościami tego ponurego dramatu.

— A ten dramat? — zapytał Frank.

— Przedstawia się on bardzo tragicznie. Wyobraźcie sobie panowie noc głęboką, gdzieś na pustych polach dom, zamieszkany przez umierającego starca, przy którym w trwodze i niepokoju czuwają siostrzeńcy. Lękają się oni powrotu niespodziewanego syna, wydziedziczonego na ich korzyść, a nie chcą za żadną cenę, aby ten syn mógł się porozumieć z ojcem przed śmiercią i uzyskał jego przebaczenie. Rozumiecie panowie?

— Niech pan mówi dalej. — szepnął Frank głosem dziwnie wzruszonym.

— Ale około północy, kiedy już czuli, że los pochyla się na ich stronę, ktoś zadzwonił do furtki ogrodowej.

— To był syn?

— Tak, to był syn.

— Przybywał po błogosławieństwo umierającego ojca?

— Ojciec jego żył jeszcze w tej chwili i w tej godzinie ostatniej porozumienie syna z ojcem mogło łatwo nastąpić... ale siostrzeńcy czuwali, aby inaczej się stało. Zdobycz, którą dla siebie zachować chcieli, wymykała im się z rąk. Zrozumieli swoje położenie i porozumieli się szybko.

— Ale syn? syn? — zapytał doktór Frank, przesuwając ręką po zbladłem czole.

— Nie wiem nic więcej.

— Jakto?

— Nazajutrz ojciec umarł, a syn zniknął nagle.

— Zamordowali go! — wyrzekł młody podróżny.

— Może.

— Pan mówi może. — zawołał Frank żywo — Ależ zbrodnia jest widoczna! Jestem przekonany, że została popełniona i sprawiedliwość...

— Sprawiedliwość, kochany doktorze — odparł Lopez — działać tylko wówczas może, kiedy ma pewne dowody w ręku, a to, co panu powiedziałem, niema jeszcze w sobie nic konkretnego. Zresztą, tak, jak i pana, tak i mnie nie obchodzi wiele dalszy przebieg tego dramatu. Nie znamy ani tego starca, ani tych dwóch nędzników, o których chodzi i którzy w podstępny sposób zrabowali jego majątek. Zbrodnia została dokonaną z niezwykłą zręcznością, skoro winni mogli ujść bezpiecznie. Ale jestem przekonany, panie Frank, że los wcześniej, czy później pomści się na nich.

Mówiąc to Lopez skierował się do domu, chcąc zwiedzić jego wnętrze. Młody nieznajomy i Frank towarzyszyli mu. Na każdym z nich opowiadanie Lopeza odmienne uczyniło wrażenie. Głęboko zamyśleni szli po schodach, prowadzących na werandę, nie mówiąc nic do siebie.

Co zaś do Paskala, to zaszła w nim widoczna zmiana.

Nie stracił ani jednego słowa z opowiadania Lopeza, przypatrując mu się uporczywie i badawczo, starając się ukryć zmieszanie, jakie go nagle ogarnęło.

W chwili, kiedy Lopez wstępował po schodach, myśl jakaś okropna zajaśniała w jego ponurych oczach. Po twarzy jego przebiegł wyraz strasznej nienawiści i wściekłości. Zacisnął konwulsyjnie dłonie i już gotował się do skoku, chcąc rzucić się na niedyskretnego opowiadacza, kiedy nagle zatrzymał się i odetchnął głęboko, przesuwając ręką po czole.

Paskal należał do ludzi odważnych, zdecydowanych na wszystko. Tym razem nie powstrzymała go więc obawa lub tchórzostwo, lecz pomyślał nagle, że ten człowiek musiał wiedzieć coś więcej jeszcze — więc należało czekać i obserwować go pilnie.

Przegląd mieszkania odbył się szybko i w milczeniu. Zdawało się, że każdy ze zwiedzających pragnie jaknajprędzej oddalić się z tych miejsc, na których ciążyły tak przykre wspomnienia.

W pół godziny później Frank z towarzyszami wychodził z willi Bierres, kierując się do powozu oczekującego przy furtce ogrodowej.

Młody lekarz był bardzo przygnębiony — Lopez zaś zachował swoją zwykłą swobodę i obojętność.

Kiedy mieli już wsiadać do powozu, młody podróżny zwrócił się do Franka i rzekł uprzejmie, podając mu rękę.

— Panie doktorze, nie spodziewałem się, zdążając tutaj, znaleźć tak sympatyczne towarzystwo. Wyniosę bardzo miłe wspomnienie z tych odwiedzin. Pozwoli więc pan, że zanim się oddalę, wyrażę całą sympatyę, jaką pan we mnie obudził.

Frank uścisnął gorąco jego rękę.

— Dziękuję panu! — rzekł serdecznie — Znamy się dopiero od godziny, ale jeżeli pan równie tak gorąco sobie życzy jak ja, to, zdaje się, nie poprzestaniemy na tem i spotkamy się jeszcze — nieprawdaż?

Twarz nieznajomego rozjaśniła się radością.

— Do widzenia więc, panie Frank! — zawołał, kłaniając się — Do widzenia.

Młody człowiek skoczył lekko do powozu i wkrótce zniknął z przed oczu pozostałych, którzy w kilka chwil później odjechali swoim powozem w stronę Paryża.

— Szczególny człowiek! — odezwał się Frank po dłuższej chwili milczenia.

— Rzeczywiście! — odparł w zamyśleniu Lopez.

— Czy pan go nie zna?

— Widziałem go dzisiaj po raz pierwszy.

— A jednakże zdaje się, że on nas znał — zauważył młody lekarz.

— To właśnie intryguje mnie dosyć.

— Ach! Zresztą, co mi na tem zależy! — rzekł Frank — Pomimo tajemnicy, jaką się otacza, wywołał wielką moją sympatyę i jestem gotów zaprzyjaźnić się z nim.

Lopez spoważniał nagle.

— Niech się pan strzeże! — rzekł, patrząc niespokojnie na towarzysza.

— Dlaczego?

— Niemożna tak lekkomyślnie rzucać się na szyję pierwszego napotkanego człowieka.

— Jestem tak samotny! — westchnął Frank smutnie — Gdyby pan wiedział, jakie straszne nieszczęście wstrząsnęło mojem życiem!

— Nie wiedziałem o tem!

— To opowiadanie pana przed chwilą ogromnie mnie wzburzyło... Ta zbrodnia... to morderstwo... Ale pan tego zrozumieć nie może...

— Czy nie może mi pan tego wyjaśnić? — zapytał Lopez z zainteresowaniem.

Silne wzruszenie ogarnęło Franka. Słowa gwałtownie cisnęły mu się na usta, ale powodowany jakąś resztką podejrzliwości, nie śmiał ich wymówić. Wkrótce jednak wzruszenie stało się silniejsze od jego woli, bo wybuchnął nagle zdławionym głosem:

— Ach! Nędznicy! Zamordowali go, aby go obrabować z majątku!

— Kogo? — zapytał Lopez, udając zdziwienie.

— Mojego ojca!

— Co pan mówi?!

— Tak panie! Ta historya, którą nam pan opowiedział tam we willi, to dzieje mojego ojca. Przybywał właśnie do Francyi po długiej nieobecności, aby uzyskać przebaczenie i błogosławieństwo ojca swojego, a ci nędznicy zamordowali go! Och! Jestem teraz tego pewny!

Lopez spojrzał uważnie na niego.

— A więc — wyrzekł wolno i dobitnie — ojciec pana zniknął bez śladu, czy tak? I pan nie czynił żadnych poszukiwań w tym kierunku?

Frank ze zniechęceniem wzruszył ramionami.

— Owszem — odparł zgnębionym głosem —

ale wszystkie moje poszukiwania nie doprowadziły do niczego.

— Bo może były źle skierowane?

— Czy ja wiem! Teraz odstąpiłem już od nich, bo straciłem wszelką nadzieję.

Lopez ujął żywo jego rękę i uścisnął ją silnie.

— Co znowu! — rzekł nakazującym głosem — Nie wolno panu odstępować od tego, co jest pana świętym obowiązkiem. Niech mi pan pozwoli działać na własną rękę, dobrze? Ta sprawa intresuje mnie bardzo. Żyjemy w dwudziestym wieku, do dyabła, i ludzie nie mogą znikać z powierzchni ziemi jak za czasów teroru. Zobaczy pan, że wkrótce uda mi się rozjaśnić tę tajemnicę.

— Szkoda pana czasu i trudów! — zauważył Frank.

— Zobaczymy.

— Zbrodniarze byli zręczni i stali się wszechwładnymi.

Lopez uśmiechnął się ironicznie.

— Tylko ludzie o żelaznej woli są wszechwładnymi! — odpowiedział stanowczo — Czy chce pan mi zaufać?

— Pan już wiele uczynił dla mnie — rzekł Frank, podając mu rękę, a nie wiem dotąd, czemu mam zawdzięczać zainteresowanie się pana moją osobą...

— Czy jest to odmowa?

— Nie, wcale nie.

— Cóż więc pana czyni tak oględnym?

— Coś, czego sobie wytłumaczyć nie umiem.

— Niech pan będzie szczery ze mną, panie Frank, dobrze?

— Już nie pierwszy raz jestem szczery, i lękam się doiknąć pana.

— To źle, kochany doktorze. Stanowisko moje ochrania mnie przed banalnemi podejrzeniami. Jestem w wieku ojca pana i może pan do mnie mówić, jak syn rodzony.

W słowach tych brzmiał szczególny ton serdecznej dobroci, która wzruszyła Franka.

— Ależ któż pan jesteś przez litość! — wyszeptał.

— Co panu na tem zależy?

— To trudne do uwierzenia, jak dziwnie jestem zmieszany wobec pana!

— Ach! Co znowu! Niech się pan nie lęka tego wrażenia, kochany doktorze! Mam nadzieję, że znajomość nasza przedłuży się i będzie pan miał czas ocenić mnie według swojej woli. Na początek proszę odpowiedzieć, bez zastrzeżeń, na pytanie, które postawiłem przed chwilą.

— Jakie pytanie?

— Czy pan już zapomniał?

— Tyle wrażeń wzburzyło mój umysł dziś rano. — tłumaczył się Frank.

— A więc, powtarzam raz jeszcze. Czy chce mi pan zaufać, czy chce mi pan powierzyć zemstę swoją?

Frank zawahał się chwilę, poczem wzniósł na swojego towarzysza spojrzenie, w którem przebijała się szlachetność i prawość.

— Dobrze! — rzekł — Służąc moim sprawom, pracuje pan może dla swoich własnych. Ale w tem wszystkiem tkwi jakaś fatalność i wierzę, że przypadek nie dla błahych powodów postawił pana na mojej drodze.

— Tak, powinien pan w to wierzyć. — wymówił z naciskiem Lopez.

— Niechże więc pan działa według swojej woli.

— Pan mnie do tego upoważnia?

— Z całego serca.

W godzinę później powóz, uwożący dwóch nowych sprzymierzeńców, zatrzymał się przed domem zamieszkanym przez Franka.

W chwili, kiedy młody lekarz wysiadł, chłopiec jakiś podbiegł do niego i wręczył mu list.

Frank otworzył go szybko i zaledwie przebiegł oczyma zapisany bilecik, kiedy pogardliwy uśmiech pojawił się na jego ustach.

— Cóż to jest? — zapytał Lopez.

— Zaproszenie na dzisiejszy wieczór na bal maskowy, mający się odbyć w gmachu Opery.

— Pójdzie pan? — zapytał Lopez uśmiechając się.

— Po co? — odparł Frank obojętnie.

— Znajdzie pan sposobność do rozerwania się.

— A jeżeli to jest jaka mistyfikacya?

— Jeżeli pan chce, to chętnie towarzyszyć panu będę.

— Naprawdę?

— Jestem do usług pana.

— A więc przyjmuję.

— Zatem, do widzenia dziś wieczór.

— Do widzenia.

Bal Opery.

Około godziny dwunastej w nocy, Frank w towarzystwie Lopeza zdążał ulicą Le Peletier.

Wokoło gmachu Opery stał zbity tłum ciekawych, przypatrując się szeregom powozów wiozących gości.

Pośród oślepiającego światła bijącego od lamp gęsto rozstawionych przesuwały się różnokolorowe maski, nawołując się, popychając, zaczepiając wzajemnie.

Gorączkowe życie, pełne lekkomyślnej swobody i niedbałości, wrzało tu w całej pełni. Zdawało się, że na wszystkie umysły padł prąd nieokiełzanego szału i wprowadził je w jakiś stan nienaturalnego podniecenia, graniczący z utratą przytomności.

Frank po raz pierwszy w życiu znajdował się na balu Opery. Żył dotąd w odosobnieniu i samotności, zaabsorbowany intenzywną pracą, nie zdając się domyślać, że poza smutnemi ścianami swojej mansardy istnieć może inne życie — życie wesołości i zabawy.

Kiedy przestąpił próg teatru i wszedł po schodach, przystrojonych kwiatami i kolorowemi lampami, na górne piętra, zdumiony został w pierwszej chwili tą duszną, podniecającą atmosferą, która buchnęła na niego całą falą, oszałamiając go w sposób niezwykły.

Bogactwo światła, ruch nieustanny, delikatny szelest sukien i zapach buchający od nich, wszystko to wywołało w spokojnym, normalnym jego organiźmie szczególne wrażenie, któremu się oprzeć nawet nie usiłował.

Lopez szedł obok niego spokojny i zimny, patrząc obojętnie wokoło, zdając się nie widzieć wyzywających spojrzeń i uśmiechów, których nie szczędziły im zamaskowane kobiety. A przecież również po raz pierwszy był świadkiem balu maskowego w operze paryskiej i Frank zdumiony był jego pewnością siebie i swobodą, z jaką sobie torował drogę w tym tłumie rozbawionym.

Po jakimś czasie Frank uczuł się zmęczonym gwarem wzrastającym wokoło i chciał odejść już, będąc pewny, że bilecik, jaki odebrał, ukrywał w sobie jakąś mistyfikacyę.

Ale Lopez usiłował go powstrzymać.

— Po co zostawać tu dłużej. — bronił się Frank — Ten hałas denerwuje mnie niesłychanie. Potrzebuję odetchnąć świeżem powietrzem.

— Poczekajmy jeszcze. — upierał się Lopez.

— W jakim celu?

— Zobaczyłem kogoś znajomego.

— Kogo?

— Młodego Gaudin.

— Narzeczonego Sylwii?

— Jego właśnie. Zdziwiony pan jest jego obecnością tutaj?

— Zapewne! Przecież przed kilkoma godzinami Sylwia znajdowała się w wielkiem niebezpieczeństwie życia... i skoro ma wkrótce zostać jego żoną.

— To i cóż z tego?

— Ależ to oburzające!

— Pan jest zanadto surowym, kochany doktorze. — odparł Lopez uśmiechając się. — Młody Gaudin nie wychodzi wcale z roli, którą sobie obrał. Przychodzi tu zapewne pożegnać wesoło swoje kawalerskie życie. Muszę z nim pomówić.

— Cóż pana skłania do tego? — zapytał młody doktór niechętnie.

— Choćby to, że pragnę uwolnić pana od jego osoby.

— Czy sądzi pan, że nas spostrzegł?

— Jeżeli nas jeszcze nie spostrzegł, to stać się to może w każdej chwili, a mógłby nam przeszkodzić.

— Więc wierzy pan jeszcze w istnienie tajemniczej osoby, od której otrzymałem zaproszenie?

— Oczywiście. Być może, że ta osoba już tu jest i czeka tylko na chwilę, abym pozostawił pana samego.

— Jaki optymista z pana! Przecież ja tu nie znam nikogo w Paryżu.

— I to właśnie intryguje mnie najwięcej. Gdyby było inaczej, nie byłoby tajemnicy. A tak, rzecz przedstawia się dosyć ciekawie. Nikogo pan nie zna, a otrzymuje pan zaproszenie na bal do Opery. To powinno być przez nas dobrze zgłębione. Życzę panu dobrej zabawy.

— Nie mogę się tem samem panu odwzajemnić.

— Eh! Poradzę sobie jakoś z tym młodym człowiekiem. Będę z nim rozmawiał o giełdzie i wyścigach i porozumiemy się doskonale.

Zaledwie Lopez oddalił się, pozostawiając Franka samego, kiedy domino jakieś oderwało się od tłumu i stając tuż obok niego, wsunęło mu delikatnie rękę pod ramię.

Frank odwrócił się żywo.

— Jest pan punktualnym — rzekło domino — i dziękuję panu za to.

— Więc to pani mnie zawezwała tutaj? — zapytał młody lekarz ze zdziwieniem.

— Tak, to ja.

— A już sądziłem, że ktoś zażartował sobie ze mnie.

— Dlaczego?

— Tak niewiele mam znajomości w Paryżu.

— Ale ja pana znałam i to mi wystarczyło.

— Zapewne, ale w jakim celu ta tajemnica? — zapytał Frank.

— To było potrzebne. Dowie się pan o tem później.

— Dobrze. Przyjmuję ten warunek i skoro jesteśmy sami,..

Domino uśmiechnęło się, pokazując dwa rzędy zębów olśniewającej białości i zgrabną ręką ukazało tłum otaczający ich.

— Mamy do pomówienia, a nie chcę wtajemniczyć w naszą rozmowę tych wszystkich ludzi. Zmienimy miejsce.

— Jak pani sobie życzy — odparł Frank, silnie zaintrygowany.

— Nie zabiorę panu wiele czasu i zanim godzina upłynie, będzie pan mógł powrócić do swoich przyjaciół.

— Do moich przyjaciół?

— Oczywiście. Czy nie jest pan przyjacielem pana Lopeza, a pan Gaudin czy nie pragnie zostać pańskim przyjacielem jak najprędzej?

— Więc pani go zna?

— Doskonale.

I młoda kobieta, nie czekając na przyzwolenie swojego towarzysza, pociągnęła go szybko do pobliskiej pustej loży.

Frank mógł teraz dokładnie przypatrzyć się nieznajomej. Jej ręce drobne, głos delikatny i dźwięczny, jak również jej chód zgrabny i lekki wskazywały, że musiała być bardzo młodą. Usta jej świeże, wyglądające z poza koronki czarnej maski, miały w uśmiechu wdzięk naiwności i słodyczy. Urok bijący od całej jej postaci nie mógł Franka pozostawić obojętnym. Zapytywał się, co mogło skłonić tę młodą dziewczynę do hazardowania się samej wśród nocy w ten tłum, gdzie czyhało na nią tyle niebezpieczeństw nieuniknionych.

Przejęty nagłem współczuciem i zainteresowaniem, ujął nagłym ruchem jej ręce w swoje dłonie.

— A więc pani pragnie ze mną pomówić, moje dziecko? — zapytał głosem, w którym przebijało się lekkie wzruszenie. — Nie uwierzy pani, jak bardzo ciekawość moja jest obudzona w tej chwili i chciałbym dowiedzieć się, jakiemu szczęśliwemu trafowi zawdzięczam przyjemność poznania pani i dlaczego obudziłem jej zainteresowanie.

Domino potrząsnęło łagodnie głową.

— Nie jest to traf żaden. Zainteresowanie się moje panem datuje się oddawna już i chociaż pan nie zna mnie wcale, ja pana znam od jego przybycia do Paryża i mogłabym opowiedzieć pana życie z najdrobniejszymi szczegółami.

— Czy to możliwe! — zawołał Frank ze zdumieniem.

— Życie pana pozornie nie miało w sobie zresztą nic ukrytego — ciągnęła dalej młoda dziewczyna — i ktoby pana widział pochylonego w nocy nad książką, pracującego nieraz do rana, ten nie byłby się domyślił tajemnicy ukrytej w sercu pana, ani strasznego celu, który sprowadził pana do Paryża.

Frank na te słowa nie mógł opanować drżenia.

— Więc jakże — zawołał — pani wie?!...

— Wiem wszystko — odparło domino. — I koniec tragiczny ojca pana i może nawet nazwiska morderców jego.

— Co pani mówi!

— Szczerą prawdę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Delegacya Litwy w Radzie Regencyjnej.

„Dziennik Narodowy“ donosi:

W Radzie Regencyjnej w Warszawie stawiła się w tych dniach delegacya obywateli z Litwy i Białej Rusi, przedstawiając jej oświadczenie w sprawie tych krajów.

Oświadczenie to podnosi łączność historyczną Litwy z Polską. Una tylko daje gwarancyę potęgi i samodzielności Królestwa Polskiego — z drugiej zaś strony zapewni swobodny rozwój narodowości, zamieszkujących Litwę.

Podpisani z naciskiem podnoszą niebezpieczeństwo, jakie wyniknęłoby z pozostawienia Litwy przy bolszewickiej Rosyi. Byłoby to wydanie jej na łup maksymalistycznych eksperymentów socyalnych, co najfatalniej musiałoby się odbić na zgodnym współżyciu jej obywateli.

Memoryał podpisało szereg wybitnych osobistości.

Regenci: Ks. Lubomirski i hr. Ostrowski w odpowiedzi zaznaczyli zgodność stanowiska Rady Regencyjnej z postulatami memoryału i oświadczyli, że załatwienie sprawy Litwy po ich myśli jest jedną z najpoważniejszych jej trosk.

Armie narodowe w Rosyi.

Jak donosi „Echo Polskie“ z 1. grudnia r. z. Rada komisarzy ludowych w Petersburgu wydała dekret w sprawie formacyi wojsk narodowościowych. Dekret składa się z dwóch następujących artykułów:

1) Pozwala się na osobne grupowanie żołnierzy według cech narodowościowych, w granicach wielkiej jednostki bojowej;

2) Możność tworzenia powyższych formacyi wojskowych nie powinna być uważana za prawo do samowolnego powrotu do domu wyodrębnionych już grup, gdyż w warunkach wojny i bez zgody ogólnego organu wojskowego takie opuszczanie stanowisk jest niedopuszczalne.

W „Dzienniku Polskim“ z 18 grudnia r. z. znajdujemy następującą odezwę Nacz. Pol. Kom. Wojskowego, wzywającą Polaków wojskowych do wydzielenia się z armii rosyjskiej: „Polacy wojskowi winni się zespolić. By to uczynić, musimy od wszelkich walk wewnętrznych w łonie samego społeczeństwa rosyjskiego trzymać się zdala. Obowiązani wytrwać aż do chwili zawarcia pokoju w szeregach armii rosyjskiej, nie mogąc aż do tej chwili starać się pod rozkazami własnego rządu, nie mamy prawa pracy i walki naszej podlawać żadnej polityce. Musimy pozostać żołnierzami. Podlegając rozkazom rosyjskiej władzy naczelnej wojskowej, dopóki Rosya udziału naszego w wojnie wymaga, musimy strzedz jak najściślej tego naszego prawa, że użyci być możemy do walki jedynie na froncie, jedynie przeciwko nieprzyjacielowi nastającemu na wolność tych, z którymi nas wiąże braterstwo broni i że do żadnych walk wewnętrznych używać nas nie wolno. Jednakże musimy stanąć w obronie życia i mienia spokojnych obywateli, w pierwszym rzędzie mając w pieczy życie i mienie naszych rodaków, którzy się tu znaleźli na wygnaniu. pomni, że za każdą kroplę krwi polskiej, na nas, żołnierzy-Polaków, spada cała odpowiedzialność przed obliczem Polski“.

Wywłaszczenie Polaków na Ukrainie.

„Dziennik Kijowski“ donosi:

Na posiedzeniu Generalnego Sekretaryatu Ukraińskiego został uchwalony tekst komentarza do ostatniego wywłaszczeniowego Uniwersału, wyjaśniający, jak należy rozumieć pojęcia skasowania prawa własności na ziemię, wywłaszczenie bez wykupu i co ma podlegać wywłaszczeniu.

1) Skasowanie prawa własności do czasu zwołania Konstytuanty należy rozumieć, jako powstrzymanie rozporządzalności własnością ziemską. to jest powstrzymanie sprzedaży, darowizny i zastawu.

2) Wywłaszczenie bez wykupu komentowane jest w ten sposób, że włościanie otrzymują ziemię bez wykupu z ich strony, co się zaś tyczy odszkodowania właścicieli, spłaty długów, ciążących na majątkach ziemskich, to sprawy te będą rozstrzygnięte przez Konstytuantę.

3) Wywłaszczeniu ma podlegać, według brzmienia komentarza, to, co posiada gospodarczo rolne znaczenie, a więc wywłaszczeniu nie podlegają dwory, sady, ogrody, wille i przemysłowe zakłady.

Sekretarz generalny dla spraw polskich, p. M. Mickiewicz, zawiadomił prezesa Sekretaryatu Generalnego, p. Winniczenkę, że mając na względzie aktualność pracy w kierunku obrony praw ludności polskiej na Ukrainie, nie należy na przyjęcie dymisyi swojej, odrzuconej przez Sekretaryat Generalny.

„Dziennik Kijowski“ zamieszcza w tej sprawie następujący komunikat Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi:

Polski Komitet Wykonawczy na Rusi już otrzymuje z prowincyi wiadomości o skutkach Uniwersału Rady Ukraińskiej. Gwałt wymier ony przez doktrynerów sprawy agrarnej przeciwko większym właścicielom ziemskim ob aca się już przeciwko warstwom demokratycznym, przeciwko oficyalistom, pracownikom rolnym i czeladzi polskiej. Własciańs two miejscowe zagarniając majątki, wyrzuca oficyalistów z ich mieszkań, pozbawia ich dachu przed zimą i skazuje całe rzesze ludzi, zarobkujących ciężką pracą przy roli, na oczywistą zgubę.

Komitet przedsięwziął wszelkie środki, aby, w porozumieniu z Związkiem oficyalistów rolnych, Radą Ziemian i organizacyami opieki nad wygnańcami, zapewnić wyrzuconym na bruk pracownikom możność przetrwania ciężkich chwil.

Rozwój działalności K. B. K.

Działalność K. B. K. nie rozwija się wedle z góry ułożonego planu. Dyktowały ją z dnia na dzień wojna, głód, zaraza i pożogi, dyktowała nieubłagana konieczność.

Książęco Biskupi Komitet (K. B. K.) powstał pod koniec 1914 r. Ledwo huk dział zamilkł pod Krakowem, a zmagania wojenne odsunęły się nieco od murów miasta, w grudniu 1914. roku K. B. K. wydał odezwę, wzywającą do składek na ofiary wojny. Odezwa znalazła posłuch. Choć cała niemal Galicya zajęta jeszcze była przez wojska rosyjskie, składki wpływać poczęły obficie. I to przeważnie nie hojne dary od ludzi bogatych; najwięcej współczucia dla nieszczęśliwych braci okazali ludzie nie zamożni, lub wręcz ubodzy. ktorzy sami byli w położeniu ciężkiem. Składki posypały się drobne, ale mnogie. A gdy odezwa K. B. K. dostała się do krajów neutralnych. gdy doszło gorącego poparcia ze strony papieża Benedykta XIV, gdy Poznańskie pospieszyło z pomocą, w Ameryce zbierać poczęto składki. a nadewszystko gdy w styczniu 1915 roku utworzył się w Szwajcaryi, pod przewodnictwem Sienkiewicza, Generalny Komitet Pomocy, znalazły się środki do podjęcia dzieła ratunku.

A pomoc była niezbędna. Wszędy, od Krakowa począwszy, na świeżych pobojowiskach i wydeptanych przez armie szlakach panował poprostu głód. K. B. K. utworzył zatem Sekcyę pomocy doraźnej, rozwożącą żywność. Staraniem się, by gorliwość i pospiech sprostały nagłości potrzeby, by pomoc postępowała bezpośrednio za wojskiem.

Później powstała Sekcya aprowizacyjna K. B. K. która, póki to było możliwe, sprowadzała dla wygłodzonych okolic żywność za krociowe sumy. Żywność rozdawano darmo, lub odsprzedawano ją tanio, za pośrednictwem mnogich składnic, rozsianych po kraju.

Równocześnie z głodem, okazał się gwałtowny brak odzieży. Ujawniło się to najpierw w jaskrawy sposób u ludności ewakuowanej z nad Dunajca, marznącej wręcz z zimna. Urządzona w Krakowie, staraniem pań, zbiórka odzieży dała K. B. K. pierwszą możliwość pomocy. a gdy dary napływać poczęły z dalsza, powstała Szatnia K. B. K. Poczęto zakuwać odzież i obuwie, sporządzać materyały i oddawać je do roboty trzem szwalniom subwencyowanym przez K. B. K., wreszcie założono własną fabrykę. ubrań, oraz fabrykę obuwia. obie działające po dziś dzień i zaopatrujące tysiączne rzesze.

W miarę, jak całała się inwazya, okazywała się potrzeba decentralizacyi; organizowano więc po kraju Delegacye K. B. K. (wraz z całą siecią subdelegacyi), wspomagających przez K. B. K. i łączących z nim w ścisłem porozumieniu, ale działających samodzielnie, niosących wszelką pomoc w swych okręgach.

Tymczasem inna potrzeba, wręcz paląca, bo podcinająca przyszłość społeczeństwa, dopominać się jęła nagłej zarady. Po szlakach wojennych błąkały się dzieci bezdomne, opuszczone, zagubione, sieroty po zabitych, straconych, wywiezionych, kalekach.

W kwietniu 1915. roku powstaje Sekcya opieki nad dziećmi K. B. K. i zrazu zakłada parę przytułków i schronisk. Wnet wszakże robota rozrasta się w rękach. Trzeba zakładać schroniska nowe, subwencyonować inne, rozmieszczać dzieci, po zakładach istniejących i u ludzi dobrej woli, pomagać organizowić opiekę nad niemi po Galicyi i Królestwie. Przed sekcyą otwiera się wciąż to nowe pole działania niezbędne, naglące, a przybierające takie rozmiary, że gdy jej budżet wynosi w roku 1915. dwa tysiące koron miesięcznie, to w roku 1917. przekracza już dwa tysiące koron dziennie, wzrasta nawet do trzech tysięcy, gdy i Sekcya sanitarna K. B. K. wciąż musi w tej pracy udział i założyć trzy schroniska dla dzieci chorych.

Sekcya sanitarna powstała z daru i inicyatywy ks. Biskupa krakowskiego w czerwcu 1915 roku, gdy wszelkiego rodzaju epidemie szerzyć się zaczęły zastraszająco po wydeptanym wojną kraju. Do walki z niemi wyruszyły niebawem trzy Kolumny sanitarne K. B. K. ruchome. idące śladem zarazy, zakładające w jej ogniskach szpitale, leczące chorych, odkażające studnie i domy, tępiące zarazy i ich źródła. Kolumny zakładają kolejno 18 szpitali w Galicyi, potem 16 w Królestwie (siedm szpitali jest wciąż jeszcze czynnych) Równocześnie rozsyła Sekcya sanitarna drużyny szczepiące do walki z ospą. Gdy jednak ospa przybierała rozmiary katastrofalne, K. B. K. organizuje z pomocą Wszechnicy Jagiellońskiej masowe szczepienie w Galicyi, a następnie wysyła swe drużyny do Królestwa. Wreszcie Sekya ta zakłada dla chorych dzieci dwa schroniska grużlicze w Zakopanem i jedno w Oświęcimiu dla dzieci chorych na jaglicę, oraz baraków w Chocemu, zagrożonych ślepotą.

Ale ofiary baraków wymagają pomocy i na innych polach. K. B. K. tworzy zatem Sekcyę dla wysiedleńców, która wbrew wszystkim trudnościom, stara się ulżyć ich strasznej doli, wywozić dzieci, zagrożone zagładą. otoczyć opieką powracających, odziać ich i żywić; w tym celu ubezpiecza kuchnie w olbrzymich barakach oświęcimskich. Szoro zaś zarząd odbudowy kraju nie może sprostać nagłemu zadaniu dostarczania wysiedleńcom mieszkań w miejsce spalonych i spustoszonych, K. B. K. wchodzi z nim w układ: kupuje drzewo, obrabia budulec i wznosi domy.

Tak więc pod naporem konieczności, zakres działania K. B. K. rozszerza się niemal z dnia na dzień. Co więcej, K. B. K. staje się ośrodkiem, około którego skupia się dobra wola i inicyatywa społeczeństwa. Jak poprzednio przy epidemii ospy Wszechnica Jagiellońska. tak teraz znów Akademia krakowska daje przykład obywatelskiej troski, czynnej i ofiarnej, dając K. B. K. sto tysięcy koron na żywienie głodnych w Krakowie. Hojny dar okazuje się niewystarczającym i K. B. K. dodać musi kilkadziesiąt tysięcy, by zaopatrzyć w żywność kuchnie ludowe dla ubogich. Z dobrej woli i inicyatywy społeczeństwa powstaje też przy K. B. K. cały szereg instytucyi pomocy, szukających u niego pomocy, rady lub oparcia, więcej lub mniej ściśle z nim związanych i całkiem samodzielnych. Tworzy się i biuro pomocy prawnej i Sekcya opieki nad żołnierzami Polakami, biura zapomogowe. komitety parafialne, wspomniane już szwalnie, fabryka pończoch i wiele. wiele innych.

I choć tak rozgałęziona działalność K. B. K. zaradzić zdołała tylko drobnej cząstce potrzeb palących, godzi się zapytać jakiny te potrzeby przedstawiały się ozwią, gdyby tej trzechletniej działalności K. B. K. nie było, lub gdyby dziś ustała?

K. B. K. nie miał dotąd żadnej subwencyi rządowej. Sam ofiarności. Mimo, że wyręczano państwo w wielu czynnościach, którym organa rządowe podołać nie mogły, otrzymywał za ich wykonanie od rządu zwrot wydatków, jednak z własnych funduszów wydał w trzech latach 8,200.000 koron. Wydawał zatem dwa i trzy czwarte miliona koron rocznie. Wydawał je dzięki hojnym składkom, wspomnianym powyżej, dzięki przedewszystkiem ciągłej pomocy Sienkiewiczowskiego Komitetu. Dziś wszystko ustało. Środki wyczerpane, a nowe nie napływają znikąd. K. B. K. musiał ograniczyć swą działalność. Ale są sprawy, których zaniechać nie może, bo nie powinien. Dość wspomnieć opiekę nad dziećmi i obronę zdrowotności kraju.

Tę organiczną bodaj działalność ma umożliwić „Tydzień K. B. K.“ „Tydzień K. B. K.“ jest ostatnią deską ratunku. By jednak stał się ną rzeczywiście, ofiarność publiczna ujawnić się w nim musi w niebywałych dotąd rozmiarach. Nie jest to niemożliwem, byle każdy, ale naprawdę każdy, pospieszył chociaż z drobnym datkiem. Ufamy, że tak się stanie.

Kronika tygodniowa.

Minęły więc święta Bożego Narodzenia, skończył się także i rok 1917., któremu taki rzewny nekrolog poświęciłem w ostatniej kronice, iż omal sam, czytając go po raz drugi w korekcie, nie rozpłakałem się serdecznie. Jeśli tego zaś nie uczyniłem, to tylko ze względów daleko posuniętej oszczędności, by nie zbrukać chustki, która wedle rozporządzenia mej czcigodnej połowicy ma wystarczyć na cały tydzień, co mi zresztą z łatwością się udaje, gdyż sam jej środek zajmuje ogromna dziura, otoczona tylko wąskim rąbkiem płóciennym, przypominającym dawne, przedwojenne czasy.

Wychodząc ze zasady, że *de mortuis nihil, nisi bene*, starałem się o ile możności oszczędzać pamięć nieboszczyka, poruszyłem też przeważnie tylko kwestye natury aprowizacyjnej, więc bardzo niewinne, inne zaś zostawiłem sobie na później, z zastrzegając się wyraźnie, że do tego tematu powrócę, choćby nawet w roku następnym, tysiącznym dziewięćsetnym ośmnastym, który wedle mych obliczeń powinien być pierwszym rokiem pokoju. A wnoszę to choćby tylko z tej okoliczności, że właśnie król Mikołaj czarnogórski zachorował na zapalenie płuc, przebył je, dzięki Bogu, szczęśliwie i celem dalszej kuracyi wyjechał podobno do neutralnej Szwajcaryi, gdyż koalicyjne powietrze francuskie, połączone z przymusową dyetą, absolutnie mu nie służy. Ponieważ zaś wiem, że król Mikołaj ma głowę i to nawet stosunkowo dużą, a w tej głowie mózg pierwszorzędnej jakości, owa więc jego słabość musiała mieć jakąś głębszą przyczynę, czyli, innemi mówiąc słowy, objawiła się na tle politycznem. Tyle razy dał nam już Mikołaj dowody dobrego węchu, że jestem prawie pewny, iż i teraz się nie pomylił i zachorował w sam czas. Raz się tylko poszkapił, a to wówczas, gdy się dał wplątać w wojnę europejską, z której wyszedł bez... korony i berła, ale to go tłumaczy, że zmuszony był do tego względami familijnymi, skoro w tem przedsiębiorstwie zaangażowaną była cała jego bliższa i dalsza rodzina.

I teraz też, przypuszczam przynajmniej, zwąchawszy pismo nosem, że na przyjaźni z koalicyą nie zrobi interesu, bo ruble, franki i funty szterlingi spadają na kursie, a marki i korony idą natomiast w górę, wolał wyzwolić się z pod nie bardzo pożądanej dłoń opieki przyjaciół politycznych i znaleźć się w Szwajcaryi, której neutralne powietrze może bardzo skutecznie oddziałać na zmianę jego przekonań politycznych.

Wszystkie dane przemawiają za tem, że szanse mocarstw centralnych stają się coraz lepsze, więc też jego rozum polityczny i ów wyżej wspomniany „dobry węch" każe mu być przygotowanym do odegrania roli nawróconego grzesznika.

W ten sposób tłumaczę sobie zasłabnięcie Jego Królewskiej Mości, lekki przebieg choroby i szwajcarską rekonwalescencyę i z tego właśnie wnoszę. że pokój jest już niedaleki i to pokój na warunkach dla nas korzystnych, z czego cośkolwiek ma się okroić i dla króla Mikołaja, czekającego tylko na to, by mu ktoś w jakiś sympatyczny sposób otarł łzy, które wylewa nad owym fałszywym krokiem, jaki popełnił, pchając swój nos tam, gdzie nie potrzeba.

Nic też dziwnego, że pewien wybitny polityk i dyplomata, który bawił przed kilku dniami w Szwajcaryi, mając sposobność rozmawiania w cztery oczy z władcą Czarnogóra, robił mu z tego powodu zasłużone wymówki. Król przyznał, że popełnił głupstwo i obiecał na przyszłość poprawę, przytaczając na swe usprawiedliwienie, że przecież nie mógł wiedzieć z góry, jaki rzeczy wezmą obrót.

Dyplomata pokiwał na to głową i rzekł:

— Wasza Królewska Mość przypomina mi ogromnie wojenną zapałkę!...

— Czy dlatego, że jestem zbyt łatwo zapalny? — zapytał biedaczysko z tak kwaśną miną, jakgdyby po wychyleniu kieliszka naszego krajowego węgrzyna.

— O nie!... Zapałki wojenne tem się właśnie od znaczają, że zapalić je trudno, bo prawie co druga nie ma głowy!...

— To prawda!... I ja byłem również taką zapałką... Ale ja się poprawię i nie palnę już nigdy podobnego głupstwa!... Niech się biją inni, jeśli im to zdrowie robi!... Ja wyszedłem na tej wojnie gorzej, niż ów Zabłocki na mydle, albo pewien pan radca na kunerolu... Bo i cóż mam z tego?... Nie miano nawet czasu zająć się mą starością i przyznaniem mi choćby tylko honorowej emerytury!...

Jeżeli i reszta koalicyi zapatrywałaby się w ten sam sposób na sytuacyę, a nie jest to bynajmniej wykluczonem, moglibyśmy cieszyć się nadzieją, że wzięły w łeb lata udręki i niepokoju, a z rokiem 1918. rozpoczyna się nowa era, era pokoju i naprawy tego, co poszło w niwecz dzięki naszej własnej nieoględności i niedbalstwu.

Król Mikołaj żałuje swojego fałszywego kroku, żałuje go z pewnością i drugi Mikołaj, studzący swe zapały na Syberyi, a w ich ślady mogłoby pójść bardzo wielu innych, zwłaszcza zaś ci, którzy dziś dopiero, gdy wojna ma się ku końcowi, przychodzą do przekonania, że właściwie sami nie wiedzą, jakie powody wówczas nimi kierowały, gdy dolewali oliwy do ognia, który ogarnął wnet cały świat, nie tylko staruszkę Europę... Gdyby byli wcześniej zastanowili się nad tem, można było uniknąć wiele złego!... Ale trudno, co się raz stało, już się nie odstanie, niechaj by bodaj rokowania w Brześciu Litewskim uwieńczył pożądany skutek.

W tamtą stronę zwrócone są oczy całego cywilizowanego świata, który żywi nadzieję, że i reszta koalicyi pójdzie za przykładem Rosyi i zgodzi się na warunki pokojowe, dla obu stron jednakowo honorowe i korzystne Jeśliby bowiem tylko jedna strona miała wyjść obronną ręką, byłoby to zapowiedzią nowych nieporozumień na najbliższe czasy. Europa ma już chyba dość tej wojny, a jeżeli Ameryka szuka sposobności do wyładowania nagromadzonej energii, niech nam da spokój, a weźmie się za bary z Japończykiem. Wówczas my ogłosimy neutralność, by zrobić dobry interes na dostawach dla stron walczących i bodaj w części powetować te straty, jaki dotąd ponieśliśmy.

Aby to przecież stać się mogło, koniecznym jest pokój w Europie, który, oby nam jak najrychlej zaświtał. To jest moje jedno i jedyne życzenie, z jakiem się dziś zwracam do wszystkich P. T. Czytelników, tak tych, którzy już prenumeratę za *Nowości Illustrowane* zapłacili, jak i tych, którzy to w najbliższej przyszłości uczynić zamierzają. Niechaj się zaś spieszą, kto bowiem do tego a tego dnia prenumeraty nie nadeśle, ten już następnego numeru nie otrzyma (tak przynajmniej ogłasza Administracya...), a trzeba o tem zawsze pamiętać, że teraz każdy numer może przynieść pożądaną wieść o pokoju, której pozbawionym będzie ten, kto zalega z przedpłatą!...

Zaczynamy więc rok 1918. stosunkowo pod lepszemi auspicyami niż moglibyśmy to powiedzieć o jego poprzedniku, który, świeć Panie nad jego duszą kolorowemi latarniami, należy już, dzięki Bogu, do przeszłości. Następca, jeżeli chodzi mu o reputacyę, nie powinien się wzorować na poprzedniku, a mając przed oczyma jego dzieje, łatwo będzie mógł wystrzegać się tych błędów, które tamtemu tak spaskudziły konduitę.

Tyle słów powitania — sądzę — powinno wystarczyć. W ciągu roku będzie się miało sposobność pięćdziesiąt dwa razy jeszcze o nim wspominać, trzeba więc zostawić nieco tematu i na późniejsze czasy, stosując się do wypróbowanej zasady doświadczonego aptekarza, który lekarstwo, aby pomogło, każe zażywać co godzina po łyżce.

Zmieniam więc temat i wracam jeszcze raz do roku ubiegłego, aby złożyć sprawozdanie, w jaki sposób spędziłem święta Bożego Narodzenia.

Przeszły zaś mi one, jak to powiadają, jak z bicza strzelił. Zapomniałem już o nich zupełnie i to jest właśnie różnica, zachodząca między rokiem 1917. a poprzednim. Po inne lata, przed wojenką, dogodził sobie zwykle człowiek w tym czasie należycie, pamiętał też święta, lecząc się z niestrawności, co sobie zwłaszcza panowie aptekarze bardzo chwalili, gdyż im to właśnie robi bardzo dobrze, gdy się przejdzie z domowej kuchni na łacińską.

Że tak było w tym roku, a nie inaczej, to jest, że nikt sobie nie przeładował żołądka ani jadłem, ani napojem, choć święta są specyalnie na obżarstwo i pijaństwo przeznaczone, temu winna wojna i nikt inny, tylko wojna. Sam nie miałeś co włożyć w jadaczkę, trudno więc było dzielić się tem jeszcze i z bliźnim. Cnota staropolskiej gościnności nie wygasła bynajmniej w naszem społeczeństwie, ale nie znalazła odpowiedniego pola do popisu. Witało się gorąco odwiedzających, ale nie przyjmowało się ich zimną nawet przekąską, tłumacząc się ciężkimi czasami i obiecując poprawę, „niech się tylko raz skończy ta przeklęta wojna!"...

Wieczór wigilijny, którym się każdy z nas, młody czy stary, tak cieszy, smutny był tego roku i bynajmniej nie „szczodry". Opłatek znalazł się wprawdzie (były to resztki zapasów z roku poprzedniego...), ale też i na tem koniec. Połamaliśmy się z Weronisią, życząc sobie wszelkich wszelakości, ale lepszych, niż tegoroczne, daliśmy sobie nawet i buzi z dubeltówki, jak na kochających się małżonków przystało, a potem... potem opowiadaliśmy sobie, jak to po inne lata smakowały liny, karpie szczupaki!... Tego roku dbający o nasze zdrowie magistrat, zamiast postarać się o rybki dla ludności, ogłosił, że ich nie będzie gdyż z Zatora popłynęły sobie na Zachód. Magistracki aprowizator spóźnił się, jak zwykle, gdyż inni tymczasem ryby wykupili, zanim on się po nie zgłosił. U handlarzy można było nabyć nawet wcale piękne okazy, ale po cenie bardzo słonej. nie każdy więc mógł sobie na podobny zbytek pozwolić. Wystarczy powiedzieć, a raczej napisać, że za kilogram szczupaka musiało się płacić po dwadzieścia koron.

W ostatecznym wypadku może karpia lub szczupaka zastąpić zwykły śledź, ale i śledzi w tym roku też brakło, odkad pan Branting zakazał ich wywozu do środkowej Europy, choć obrodziły w tym roku podobno, jak nigdy dotąd. Pozostały więc tak popularne dawniej „moskale" i sardynki. Z Moskalami jesteśmy obecnie (przynajmniej aż do 14. stycznia, godzina dwunasta w południe) na dobrej stopie, zjadać się ich więc nie powinno, pozostają więc z konieczności sardynki, liczące się do koalicyi, więc zasługujące na zagładę. Ale i ich też brak, a jeśli który kupiec ma jeszcze jakowyś zapasik, to po cenie nie przystępnej wogóle dla zwykłego śmiertelnika.

Ale jakoś obeszło się bez ryb, co nawet każdemu może tylko wyjść na zdrowie. Ponieważ nie było ryb więc też pływać nie potrzebowały, obeszło się i bez pijaństwa, kto miał sacharynę, napił się szklaneczkę tak zwanej herbaty i był zupełnie zadowolony.

Co jednak gorsze, nie było strucli, babek, placków i tym podobnych smakołyków, będących zawsze dumą każdej gospodyni. Pół kilograma mąki na głowę, do tego brak cukru, jaj i tłuszczów, oto powód, dla którego stół wigilijny, pozbawiony był swych zwykłych ozdób. Siedziały wprawdzie baby koło stołu, ale żywe, tych rumianych, wyruszanych, pulchnych na stole nie było.

Nawet kury, tak spokojne dotąd stworzenia, wzięły do łba i ani rusz pamiętać o tem, co jest ich obowiązkiem, to jest o znoszeniu jaj. Zastrejkowały, nie oglądając się nawet na taryfę maksymalną, wobec czego tak popularny dotąd artykuł spożywczy, stał się dostępnym chyba dla milionerów, dostawców lub funkcyonaryuszy różnych centrali.

Łykał więc człowiek ślinę, lizał łapę i przeżuwał dawne wspomnienia, co miało ten bodaj dobry skutek i następstwa, iż sobie żołądka nie zepsuł, choćby nawet obdarzyła go matka natura jak najbujniejszą fantazyą... Ruch poświąteczny w aptekach był też wobec tego bardzo słaby, z czego cieszy się może pan fizyk, ale się smucą panowie pigularze.

Noc wigilijną, ze względu na ową przymusową dyetę, przespał też każdy zwykły śmiertelnik snem sprawiedliwego. Byli naturalnie i tacy, którzy oddawali się obżarstwu i pijaństwu, więc sen potem mieli niespokojny, ale takich można policzyć na palcach.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia zwykł był człowiek zjadać pozostałości ze stołu wigilijnego, a potem odbywać wędrówkę po znajomych. W tym roku nie było czem posilić się w domu, ani czem ugasić pragnienia, a odwiedzinach znajomych to nie ma co mówić. Jeżeli zabłądziłeś gdzie i zastałeś państwo w domu, patrzano na cię tak miłem okiem, jak na psa w kościele i czekano, kiedy się wyniesiesz.

Spróbowałem i ja szczęścia tu i tam i przyznać muszę, zawiodłem się bardzo przyjemnie. Byłem w trzech domach, w trzech różnych dzielnicach rozszerzonego Krakowa i wszędzie przyjęto mnie nie tylko gorącemi słowy, ale nawet i gorącą, przedwojenną przekąską z odpowiednią ilością przeważnie piwnej wilgotności. Na tem więc miejscu składam publiczny hołd ich cnotem obywatelskim, żałując bardzo, że nazwisk ich nie mogę podać do wiadomości ogółu, jako wzory cnot staropolskich, godne naśladowania, choć żaden z nich polskiego naswiska nie nosi!... Czynię to zaś tylko ze względu na ich skromność, zdobiącą tych zacnych obywateli nie gorzej. niż owego historycznego Arystydesa.

W każdym razie zabawił się człowiek i uczciwie i godziwie, nie boli go też głowa, ani żadna inna część cielesnej powłoki, po inne lata po świętach domagająca się gwałtownie reparacyi, choćby tylko przy pomocy należącego dziś do mytów... oleju rycynowego. Dziś bez niego obejść się łatwo, ale dziś znalazłeś w całem mieście tylko trzech mężów sprawiedliwych, gdy dawniej bywał ich cały legion!...

Drugi dzień świąt nie był zgoła podobnym do pierwszego, nie znalazło się bowiem ani trzech „sprawiedliwych", wszędzie natomiast odprawiano cię z kwitkiem, twierdząc, że „państwo wyszli i niewiadomo, kiedy wrócą..." albo „państwo od tygodnia bawią w Zakopanem!"...

Wobec czego nie pozostało nic innego do zrobienia, jak zatrąbić na odwrót w domowe pielesze, gdzie się należało już zająć przygotowaniem kroniki na następny tydzień. Przy tej sposobności nleciało w niebiosa niejedno westchnienie, by ta przebrzydła wojna już raz się skończyła i nastały lepsze, znośniejsze czasy.

Co, aby jak najrychlej się spełniło!

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.
Ułożył R M , Sosnowiec.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

—oła
A—ya
li—a
try—
st—p
o—ci
—awa
m—la
so—a
Let—
ro—i
k—sa
—ero
p—ra
Sa—a
sol—
no—a
k—pa
—ada
a—da
ma—i
tab—

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Rany! Bierz buraki, aby...

Logogryf.
Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów czytany z góry aa dół, utworzą imię i nazwisko polskiego botanika.

□ — — — —
— □ — — —
— — □ — —
— — — □ —
— — — — □
— — — □ —
— — □ — —
— □ — — —
□ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Część ciała 2 Ryba 3 Ptak brodzący 4. Ptak drapieżny 5 Rodzaj łodzi 6 Cesarz rzymski 7 Miasto na Śląsku. 8. Jeden z żywiołów. 9 Beczułka.

Zadanie królewskie.
Ułożył Maryan z R chni

e	i	w	z
z	s	a	o
e	n	r	n
i	b	i	i
e	z	j	p
ą	r	ó	o
y	s	o	k

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył Pikuś z Wieliczki.

Przez dodanie spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) --e---a- a-o-a-a,-e--a-a.

2 -a-e--y-ini-a--y-a!

Trójkąt magiczny.
Ułożył Ed. Składzien, Zawada.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko jednego z twórców konstytucyi Trzeciego Maja.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz 2. Godność duchowna. 3 Barwa skolica. 4 Nauka. 5. Instrument muzyczny 6 Imię męskie. 7 Wyraz znany z geometryi 8. Zaimek 9 Rzeka w Galicyi 10. Przyimek. 11 Samogłoska

Zadanie do przestawienia.
Ułożył E. Składzień, Zawada.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

O kupcze!... I leżą jako róg!..

Bilety wizytowe.
Ułożył M Birkenmajer, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

CZ. RANGAR

MR. ALARIK JAMSTES

AL. D. N. KOSYCARZ

ER. PRAT

GWI. NYT. MOJ.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *E Żmijewskiej*: **Książę Pan.** Nowele

Rozwiązanie zagadek z Nr. 51.

Łamigłówka Ewa
Sem
osa
noc
tło
ryk
ach
oko
ość
iwa
lin
bąk
eta

Szarada: Buraki.

Grzebieniówka:

K	o	r	s	e	n	i	e	w	s	k	i	J	ó	z	e	f
r		u		r		n		r		o		e		y		a
a		m		e		t		o		n		s		g		w
t		u		k		r		c		t		i		m		o
n		n		c		a		ł		n		o		u		r
i		i		y		t		a		s		t		n		y
k		a		a		a		w		z		r		t		t

Zadanie do przestawienia: Za grzechy młodości cierpią stare kości.

Logogryf:

M i e k i o w i e z
i n f o r m a c y a
C z a r n o g ó r a
k e k i e t e r y a
i l u m i n a c y a
E g i p c y a n i n
w e t e r y n a r z
i n k l i n a c y a
c h o ł o d z i e c
z b r o d n i a r z

Zadanie do przestawienia: Nierychło Marychno po śmierci wędrować.

Zadanie do uzupełnienia:
1. Jak kuba B gu. tak Bóg Kubie.
2) Raz kozie śmierć!

Okienko

T e h e r a n
e e e i
h e l l a d a
e l k g
r e a k c y a
a d v r
n i a g a r a

Zadanie do uzupełnienia: Używaj świata póki służą lata

Bilety wizytowe: Szeryf. Latarnik Kirasyer. Kasyerka Wiceftelnwebe.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Łodyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Podgórze, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń S. Cegielski Poznań, W. Mirecki Lwów, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor, Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S Kamocki Przemyśl. J. Topolnicki Lwów, E. Bogdalska Koropuż, B. Książek Miejsce Piastowe. J Zaleski Lwów, M. Czyżewi z Warszawa. K Majewski Przemyśl, L Roth Tarnów, S Głowacki Stanisławów, L. Reich Lwów, K. Opolski Kraków, J Ogrodnik Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymali pp. **J. Ogrodnik, Lwów** (Gruszeckiego „Po ślubie" **S Głowacki, Stanisławów i K. Majewski, Przemyśl** Abdon Legun w polskich) Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Pisma dla młodzieży. C. k. Rada Szkolna krajowa — wedle doniesienia w dzienniku urzędowym R. XXI. Nr. 9. poleciła dla bibliotek szkolnych i jako lekturę dla młodzieży następujące pisma „Nasz przewodnik", miesięcznik obrazkowy dla dzieci (od lat 7 do 10), oraz „Świt", organ Związku „Eleuteryi" w Krakowie (św. Marka 23), nadający się dla uczniów klas wydziałowych i szkół średnich. Zarząd Związku „Eleuteryi", który trudni się rozpowszechnianiem obu pism, składa na tem miejscu c. k Radzie Szkolnej krajowej publiczne podziękowanie za poparcie akcyi oświatowej Towarzystwa.

Do P. T. Czytelników!

Przed wybuchem wojny światowej w r. 1914 rozpoczęliśmy w „Nowościach illustrowanych" druk wybornej powieści znakomitego naszego pisarza, **A. Gruszeckiego**, p. t.

„Po ślubie".

Niestety, z powodów od nas niezależnych, druk jej zmuszeni byliśmy przerwać, obecnie też, gdy okazała się w wytwornem wydaniu książkowem, chcąc P. T. Prenumeratorom naszym ułatwić jej nabycie, weszliśmy z wydawcą w układ — na mocy którego Administracya „Nowości illustrowanych" sprzedawać będzie zgłaszającym się książkę p. t. **„Po ślubie" po zniżonej cenie 4 korony,** zamiast ceny księgarskiej **Kor. 5·20.** Na koszta poleconej przesyłki, gdyż tylko za takową przyjmuje Administracya odpowiedzialność, należy przesłać ponadto 70 halerzy.

Zamówienia na powieść **A. Gruszeckiego** kierować należy do **Administracyi „Nowości illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego 95.**

Właściciel i wydawca: Syndykat Nowości Ilustrowanych. Odpow. redaktor: M. Linińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Józefa Matuszewskiego